NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 12 czerwca 1909. Nr. 24.

Zamordowanie adwokata Lewickiego.



Straszny wybuch prochowni (kilkanaście sensacyjnych zdjęć).
Szereg illustracyj odnoszących się do zamordowania dra Lewickiego.

NA DAR GRUNWALDZKI!

Wierząc głęboko i szczerze, że siła naszego Narodu i jego przyszłości leży w oświacie, gdyż ona jest tej siły najpotężniejszą dźwignią, uznając dalej ogrom niebezpieczeństwa, grożącego polskiemu żywiołowi od naporu germanizmu, solidaryzujemy się z wspaniałą akcyą całego społeczeństwa, skierowaną ku obronie kresów zachodnich naszej Ojczyzny i w tej akcyi czynny chcemy wziąć udział.

W tym celu zobowiązuje się wydawnictwo „Nowości Illustrowanych“ złożyć na cele walki oświatowej na kresach zachodnich jako

Dar Grunwaldzki kwotę 2000 (Dwa Tysiące) koron gotówką, płatną w przeciągu pięciu lat.

Kwotę tę ofiarowuje wydawnictwo bez jakichkolwiek zastrzeżeń i bez względu na to, jaką wysokość ogólna suma składek w tym czasie i na ten cel osiągnie, ponieważ wierzymy głęboko, że społeczeństwo nasze, nauczone tyloletniemi klęskami i doświadczeniami, pojęło już wartość i znaczenie solidarności, zrozumiało potęgę samopomocy i że w tym wypadku znajdzie na piękny i tak wielki cel conajmniej dwa miliony koron, które kiedyś z nawiązką się wrócą.

Podając naszą skromną ofiarę do publicznej wiadomości, wzywamy równocześnie szerokie koła naszych Czytelników i Przyjaciół, by w akcyi Daru Grunwaldzkiego wzięli jak najszerszy udział.

W jedności nasza siła i potęga, a oświata ludu — dokona cudu.

Wydawnictwo „Nowości Illustrowanych“.

W Krakowie 8 czerwca 1909.

Straszny wybuch prochowni.

Szczęśliwem zaiste zrządzeniem Opatrzności, Kraków, Podgórze i najbliższe ich sadyby ludzkie uniknęły kilka dni temu niesłychanie groźnego niebezpieczeństwa, względnie cało zeń wyszedłszy. Katastrofa z dnia 5 czerwca b. r. aczkolwiek nie przybrała takich rozmiarów, jakie przybrać mogła, jest poważnem nader ostrzeżeniem dla czynników autonomicznych, aby raz wreszcie postarały się energicznie u władz wojskowych o przesunięcie jak najdalej prochowni i składów gotowej amunicyi. Rozumiemy, że w twierdzy podobne prochownie i składy znajdować się muszą, ale mamy również wszelkie prawo domagania się, aby życie i własność mieszkańców w obwodzie rejonu fortecznego nie były ciągle na szwank narażane w czasie pokoju. Za uciążliwy podatek krwi i mienia, płacony na rzecz państwa — przynajmniej to nam się należy.

Krytyczny dzień 5-go czerwca był bardzo upalny, a pod wieczór atmosfera stała się niemożliwie parną i duszną. Po godzinie 6 dopiero niebo zaczęło się oblekać ołowianą barwą, z południowego zaś zachodu nadciągnęła nad Kraków i jego okolicę burza z akompaniamentem ciężkich grzmotów i przeraźliwych błyskawic, pioruny uderzały raz poraz.

O godzinie 7 minut 15 jeden z nich uderzył w magazyn amunicyjny nr. 5, znajdujący się na gruntach wsi Wola duchacka, położonej za Podgórzem w kierunku Wieliczki. Magazyn ten, razem z kilkoma innymi, wznosił się na grzbiecie wzgórz, ciągnących się za Krzemionkami, lecz od nich niższych i otoczony był wałem ziemnym. Był to duży budynek drewniany z dachem blaszanym, mieścił zaś w sobie znaczną ilość prochu w beczkach, oraz stosy skrzyń z nabojami działowymi i karabinowymi. Tylko dzięki tej okoliczności, że był to budynek z lekkiego materyału wzniesiony, przypisać należy, iż katastrofa nie doszła do takich rozmiarów, jak w Tulonie przed laty kilkunastu z okazyi podobnego wybuchu.

Uderzając w dach wspomnianego magazynu, piorun pominął gromochron i natychmiast zapalił wiązanie dachowe, które się też tlić zaczęło. Tego nie zauważył z powodu ulewnego deszczu ani żołnierz, stojący na posterunku, ani reszta żołnierzy znajdujących się w domku wartowniczym, ani też mieszkańcy pobliskich domostw. W dziesięć minut po uderzeniu pioruna przeraźliwy błysk oświetlił całą okolicę, a straszliwy huk, któremu towarzyszyło wstrząśnięcie powietrza, dające się czuć w promieniu przeszło dziesięciu kilometrów, rozległ się po nim bezpośrednio. Jak silnem było wstrząśnięcie atmosfery, dość powiedzieć, że nie było domu w Krakowie, gdzieby nie sądzono, iż weń piorun uderzył, a szyby powylatywały w domach naszego miasta, położonych w odległości przeszło siedmiu kilometrów od miejsca katastrofy.

Przerażenie wśród mieszkańców Woli duchackiej i wiosek okolicznych, wywołane tą pierwszą eksplozyą, w czasie której wyleciały w powietrze beczki z prochem, było nie do opisania. Ogłuszeni, przejęci strachem panicznym ludzie, uciekali z domów w pola, biegnąc jak obłąkani przed siebie, byle



Straszny wybuch prochowni: Komisya przed dworcem kolejowym w Podgórzu-Płaszowie. 1. Prezydent miasta Krakowa dr. Leo; 2. radca dworu dyrektor kolei Horoszkiewicz; 3. burmistrz Podgórza poseł Maryewski; 4 fizyk m. Podgórza dr. Smorągiewicz; 5. naczelnik stacyi Młynarski.

znaleść się jaknajdalej od groźnego miejsca eksplozyi.

Był to jednak dopiero początek dzieła zniszczenia, jakiego dokonywały rozpętane siły, zawarte w materyałach wybuchowych. W kilkanaście minut



Zamordowanie adwokata Lewickiego: Ś. p. dr. Włodzimierz Rogala Lewicki.

bowiem po pierwszym wybuchu wydarzyły się inne, które aż do godziny 1-ej w nocy następowały po sobie kolejno. Wybuchały teraz skrzynie z amunicyą, przyczem pociski działowe szerzyły straszne spustoszenie w promieniu przeszło kilometra. Kilka z nich padło nawet w odległości przeszło trzech kilometrów, a między innemi w Bonarce.

Z powodu konfiguracyi terenu, najwięcej ucierpiała okolica otwarta, położona na północny wschód od miejsca eksplozyi aż po Prokocim, a więc przysiółki Basistówka, Słoniówka, Kasztelanka, Wola duchacka i t. d., oraz dworzec kolejowy w Płaszowie. O szkodach tam poczynionych dają doskonałe wyobrażenie wyborne zdjęcia, dokonane przez naszego redakcyjnego fotografa. Niema tam jednego



Straszny wybuch prochowni: Zniszczone zabudowania fabryki gipsu na „Słomówce“.

prawie nieuszkodzonego domu. Dachy i kominy zostały podziurawione odłamkami granatów i szrapneli, okna i drzwi powyrywane z futrynami.

Z ludzi, jak dotąd stwierdzono, nikt nie zginął, natomiast przeszło 300 osób jest rannych, a wśród nich wielu ciężko. Cudownym prawdziwie sposobem ocalał żołnierz, stojący na posterunku, którego miano początkowo za zabitego, a który jak się później pokazało, stracił tylko przytomność skutkiem doznanego wstrząsu nerwowego.

Wiadomość o eksplozyi w prochowni za Podgórzem rozbiegła się niesłychanie szybko po naszem mieście, gdzie pierwszy ją zakomunikował do komendy twierdzy p. Epstein, radny podgórski. Towarzystwo ratunkowe pośpieszyło w dwóch oddziałach na miejsce katastrofy, gdzie pierwszej pomocy rannym udzielali: lekarz miejski dr. Smorągiewicz, lekarze wojskowi i lekarze kolejowi. Pośpieszyły także liczne oddziały wojskowe, które na szczęście dość wcześnie utworzyły kordon, niedopuszczając ciekawej publiki, śpieszącej bezmyślnie tam właśnie, gdzie jak grad padały odłamki pocisków działowych. Noc i ulewa utrudniały akcyę lekarską, którą jednak prowadzono bardzo energicznie. Kolejno po sobie następujące wybuchy powiększały grozę położenia, gdyż gęsto padające pociski nie pozwalały zbliżyć się na pewną odległość do centrum miejscowości objętej katastrofą.



Straszny wybuch prochowni: Zabudowania magazynów Sprechera w Woli Duchackiej.

Dopiero poranek niedzielny pozwolił na ocenienie całej doniosłości katastrofy, na szczęście — jak to zaznaczyliśmy — przeważnie materyalnej. W Krakowie, Podgórzu, Rakowicach, nawet w Mogile wypadło kilkanaście tysięcy szyb, a między niemi sporo szyb wystawowych, witraż zaś w kościele OO. Dominikanów, dar hr. z Olizarów Przeździeckiej, został znacznie uszkodzony, podobnie jak oszklenie kaplicy M. Boskiej Różańcowej. Skarb wojskowy ponosi ogromną stratę, wyleciało bowiem w powietrze samego prochu 12.000 kilogramów, a dwa sąsiednie magazyny amunicyi, obok magazynu nr. 5, są tak gruntownie uszkodzone, że amunicya musiała zostać z nich usuniętą.



Zamordowanie adwokata Lewickiego: Janina Borowska.

Dokładnie obliczyć straty, wywołane sobotnią eksplozyą, nie będzie tak łatwo, ze względu na mnóstwo partyi poszkodowanych, rząd zaś niezawodnie będzie musiał do strat poniesionych doliczyć jeszcze odszkodowanie osobom, poszkodowanym na zdrowiu lub majątku skutkiem tego strasznego wybuchu prochowni. Przy znanym jednak systemie biurokratycznym, którym rządzą się władze austryackie, nie można się spodziewać, aby rychło wyciągnęły naukę z ostatniej katastrofy i przesunęły dalej prochownie twierdzy krakowskiej.



Straszny wybuch prochowni: Rodzina poranionych Kopciów przed swą zniszczoną zagrodą.



Straszny wybuch prochowni: Zdemolowana kompletnie zagroda Kopcia w Woli Duchackiej.

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

24 (Ciąg dalszy)

Otworzył szafkę i dobył z niej koszyk, który kupił poprzednio od ojca Bougneau, poskramiacza żmii. Może teraz los mu posłuży? Wszedł na tajemniczy korytarz, świecąc sobie lampką elektryczną i dostał się przed ścianę pokoju pani Morailles. Naciskając sprężynę odsunął mur, baryerę i zajrzał do środka. Pokój był pusty. Aurora, której głos dochodził go, znajdowała się w bocznym salonie przy Jacku. Nadeszła decydująca chwila.

Na ręce włożył z grubej skóry, długie rękawiczki, zachodzące aż po łokcie. Wziął koszyk, przytknął go do otworu i wolno odsunął wierzch. Żmija widząc dochodzące ją światło z pokoju pani Morailles, zaczęła kręcić się, rozwijać i przyczołgała się do otworu w ścianie. Markiz uczuł, iż płaz wysunął się już z koszyka.

A więc zemsta jego spełnia się. Z zapartym oddechem, z błyszczącemi oczami stał przy ścianie i wpatrywał się w ruchy żmii. Zaczołgała się pod fotel. Oby tylko żądłem swem dotknęła ciała Aurory, Jacka lub Joanny.

Drżał z rozkoszy na myśl, że będzie patrzył na ich ból, na rozpacz swej żony. Czekał długo. Aurora wróciła przed chwilą z pokoju Andrzeja i siedziała przy posłaniu Jacka. Dzień ten wyczerpał ją, za wiele doznała wzruszeń. Naprzód radosne spotkanie z panią Seymour, w której odnalazła dawną serdeczną przyjaciółkę, potem to straszne niebezpieczeństwo, grożące jej synowi.

Pan Morailles dojrzał wreszcie na progu swą żonę i usłyszał jej głos:

— Dobranoc Joanno, śpij dobrze.

— To tobie, Auroro, trzeba dać tę radę.

— Oh, ja...

— Widzisz, że nie grozi żadne niebezpieczeństwo ani Jackowi, ani Andrzejowi.

— Moje biedne dzieci...

Markiz zadrżał na te słowa. Więc ona śmie równać jego syna z tym bękartem! Ach, prędzej, niech żmija otoczy się koło niej! niech zemsta się dokona!

Pani Morailles zwolna rozbierała się. W postaci jej widać było zmęczenie, wycieńczenie nie tylko fizyczne, lecz i duchowe. Markiz patrzył na jej wychudłe kształty, przypominał ją sobie z dawnych lat, zaraz po ślubie, lecz uczucie żalu nie powstało w jego sercu. Bosemi nogami zbliżyła się do łóżka i nagle przerażający krzyk wstrząsnął wszystkimi, zajęczał bólem i rozpaczą.

Markiz lubował się z rozkoszą, widokiem Aurory, która skoczyła na środek pokoju z wiszącą u kostki nogi czerwoną żmiją. Z piersi jej dobył się nowy krzyk tak straszny, jakby to był ostatni głos pożegnalny ze światem i padła na ziemię bez czucia.

W chwili tej była już przy niej Joanna. Spostrzegła i zrozumiała odrazu całą grozę położenia. Nie tracąc chwili czasu chwyciła żmiję przy samym łbie, oderwała ją od nogi i bez sekundy wahania rękę swą wraz z płazem włożyła w płonący ogień na kominku. Gdy ją wyciągnęła z powrotem, zamiast dłoni miała jedną nabrzmiałą ranę, zwęglonemi resztkami gadu.

Nagle rozległ się brzęk tłuczonego lustra, wyrywając z ust Aurory nowy, ale już nieludzki, obłąkany wrzask przerażenia. Lustro wiszące na ścianie, trącone zapewne czołem markiza spadło na ziemię, odkrywając otwór na tajny korytarz, w którym oświetlony lampką elektryczną stał jej mąż z szatańskim uśmiechem. Widok ten znikł natychmiast. Markiz nacisnął sprężynę i w oka mgnieniu zasunęła się boazerya i ściana, nie pozostawiając najmniejszej szczeliny.

— Tam!... Tam!... On!... — wołała spazmatycznie.

Gdy Joanna obróciła się, ujrzała tylko szalony przestrach w jej oczach i blade wargi powtarzające:

— Tam!... Tam!... widzę go.

— Co! Co widzisz, Auroro?... Żmija już spalona...

— On tam był... Ukryty korytarz, widziałam go... oh!

— Auroro, uspokój się, przecież widzisz, że niema nic, tylko ściana. Halucynacyę miałaś.

— Nie, nie, widziałam go, jestem pewna... Za ścianą znajduje się ukryty korytarz... On tam był, śmiał się!...

W półotwartych drzwiach ukazała się głowa Maurycego.

— Na Boga! co się stało?

— Aurorę ugryzła żmija. Poślij po doktora!... Na razie dam sobie radę.

I mówiąc to, położyła się na ziemi przy nodze Aurory i zaczęła wysysać wargami jad z dwóch małych ranek na kostce.

Doktór Morane gdy przybył, zastał markizę w gorączce: musiał zarazem zająć się i Joanną, która miała rękę strasznie poparzoną.

Po nałożeniu pierwszych opatrunków, doktór wraz z Maurycym obejrzeli podejrzaną ścianę, pukali w nią, szukali jakichkolwiek śladów, lecz nic nie znaleźli.

— Halucynacya? — zapytał Maurycy.

— Nie może być nic innego; wiem, że markiza niema w pałacu — odrzekł doktór.

W chwili tej markiz z radością w duszy z dokonanej zemsty, pędził całą siłą samochodu do Paryża.

XVII.

OKRUTNY PLAN.

O pół do dziewiątej rano pan Morailles po krótkim spoczynku — po powrocie bowiem z Roche Forte pokazał się na godzinę w klubie, by na wszelki wypadek zachować sobie alibi — przeglądał ranne gazety, gdy zapukano do drzwi i na progu ukazał się służący z zakłopotaną miną.

— Co takiego?

— Pan markiz wybaczy, ale jakaś pani koniecznie prosi o przyjęcie. Tak tego domagała się, że aż portyer sam ją przyprowadził do apartamentu pana markiza.

— Jak się nazywa?

— Nie chce powiedzieć; kazała tylko zameldować, że jest z ulicy Spontini.

— Z ulicy Spontini? To może być tylko albo mistres Harden albo Maud Kiss. Jak wygląda ta pani?

— Bardzo młoda, bardzo ładna i bardzo elegancka.

Markiz zawahał się; w pierwszej chwili chciał jej nie przyjąć, potem jednak rzekł:

— Proszę wprowadzić.

Ukazała się Maud, o zaróżowionej cerze i błyszczących oczach; gdy służący zamknął za nią drzwi, upadła do nóg swego kochanka.

— Henryku, tyś nie miał litości nademną... Jaką ja noc miałam! Ty będziesz się bił, prawda?

— Cóż to panią może interesować? — rzekł pan Morailles obojętnie, podnosząc się z fotelu.

— Jakto, cóżto może mnie obchodzić?... Henryku przecież ty nie przypuszczasz?... Przecież to szaleństwo! Czyś ty mógł sądzić choć przez chwilę, że ten gruby Hartenberg interesuje mnie? Nie, na prawdę, tyś tego nie myślał?

I Maud Kiss wycierała rękami oczy, z których jednak ani jedna łza nie popłynęła. Chciała, by o nią bili się, ale nie chciała odrazu stracić ich obu. Należeć będzie do zwycięzcy. Wracała właśnie od Hartenberga, któremu przysięgała miłość, a teraz na wszelki wypadek chciała zabezpieczyć się u markiza.

— Przyznasz jednak pani, że miejsce na audyencyę dla hrabiego wybrała sobie niezwykłe. Zresztą ja nie żądam żadnego tłomaczenia. Uczyniła pani to, co jej się podobało, lecz niestety, ja znam pani projekty...

— Moje projekty?

— Tak, pani opiekunka, mistres Harden...

Jakto, mistress Harden ją zdradziła! Na samą tę myśl Maud ledwie powstrzymała się od śmiechu. Jako wspólniczka mistress Harden wiedziała dobrze, dlaczego jej opiekunka wzbudziła w markizie podejrzenia. Wczoraj miały długą z sobą rozmowę na ten temat i ułożyły cały plan działania.

— I ty wspominasz o tej kobiecie — odezwała się z oburzeniem... Nie wiesz, że ona jest największym twym nieprzyjacielem; nie domyślasz się nawet, że ona mi spokoju nie daje z powodu tego Hartenberga.

— Doprawdy?

— A żeś mnie spotkał wczoraj z tym grubym Hartenbergiem... Nie, pomyśleć tylko, że ja mogłabym porzucić ciebie dla niego! Chyba o to nie posądzałeś mnie Henryku. Ach, jakiś ty zazdrosny, Więc tyś mnie śledził?... Nie ufałeś swojej małej Maud?

Popatrzyła na niego z tak komicznie oburzoną miną, iż uczuł, jak gniew jego topnieje.

— Proszę nie odbiegać od tematu...

— Ależ wcale nie odbiegam... Mój drogi królu, to ty nie rozumiesz, że jeżeli zgodziłam się na spotkanie z Hartenbergiem, to dlatego, by uwolnić się od niego raz na zawsze. Mistress Harden ciągle mnie nim nudziła. Ustąpiłam wreszcie, lecz przyznam się, że masz mało daru spostrzegawczego, jeżeli nie zauważyłeś?...

— Ciekawy jestem... czego?

— Zupełnej poprawności, z jaką zachowaliśmy się, ja i hrabia. Siedzieliśmy jak na wizycie przy herbacie. Jeżelibyś lepiej na niego patrzał, dojrzałbyś jego minę zawiedzioną. Właśnie odebrałam mu wszelką nadzieję.

— To tylko dlatego zgodziłaś się na to rendez-vous?

— Ależ z pewnością, Henryku... Wierz swojej Maud, ona mówi ci prawdę. Chcesz, bym cię pocałowała na dowód prawdy?

I jak kot skoczyła mu na kolana, obejmując go za szyję.

— No, dobrze, ale wytłomacz mi, dlaczego mistress Harden opowiadała mi to wszystko o tobie?

— Na złość twojej małej Maud, mój królu. Ona wścieka się, że traci nademną wpływ, że nie chcę porzucić ciebie dla Hartenberga, który ofiarowuje mi miliony. Ona teraz mści się na mnie i podburza cię przeciwko mnie.

— Jedna tylko rzecz jest mi nieprzyjemna teraz — rzekł obojętnie markiz, trzymając ją za ręce i patrząc w twarz, jakie wrażenie wywrą na niej jego słowa — ze jestem zmuszony zabić tego grubego Hartenberga, jak go nazywasz.

— Ależ najdroższy, co mnie to obchodzi, byle tobie nie stało się nic złego!

Pół godziny przedtem te same słowa powtórzyła Hartenbergowi, siedząc u niego na kolanach.

— A po co chodziłaś do tej Amelii?

— Przecież i ty mnie przez nią poznałeś. A dokąd miałam iść z nim? Do hotelu? *Shoking!* A może w muzeum, przed Venus... na dworcu kolejowym albo w tramwaju?

— A dlaczego miała Amelia taką minę przestraszoną?

— To ty i na to zwracasz teraz uwagę! Przecież ona zajęta tylko Lolem, o nim bezustannie jęczy, kąpie go w słońcu, elektryczności... Jeżeli tylko takie masz zarzuty!...

— Mam i inne, Maud. Dlaczego mi nie ufałaś? Powinnaś była powiedzieć mi, że Hartenberg cię napastuje, a w pięć minut byłabyś już od niego wolna.

— Tak, przez przez prztyk w nos, a potem szpadą w bok. Ja się teraz boję, bo on podobno doskonale fechtuje się.

— Co do tego możesz być spokojna. Teraz tylko musisz mnie opuścić, jestem zajęty.

— Przyrzeknij mi tylko, że o wszystkiem zapomniałeś. Pocałuj mnie, Henryku.

Objął ją rękami i pocałował. W chwili tej zapukał służący:

— Doktór Saffroy czeka.

— Poproś.

Bocznemi drzwiami wypuścił Maud, nie tak jednak prędko, by doktór nie spostrzegł znikającej sylwetki kobiecej.

— Telefonował pan do mnie. Oto i jestem. Ale pan nie jest cierpiący, jak widzę — i uśmiechnął się lekko przy tych słowach.

— Nie, nie, drogi panie, czuję się dobrze... Proszę siadać. Może cygaro?...

Saffroy wziął cygaro, powąchał je, trochę przygniótł koło ucha, by słychać czy szeleści, na znak, że jest suche, wyjął z kieszeni scyzoryk, obciął koniec i zapalił, otaczając się dymem, z którego wyglądała jego czarna, brzydka twarz. Była to niemiła postać, ten doktór Saffroy; zyzowaty, z skrzywionemi ustami zdradzał na każdym kroku chciwość, ale skrywaną pozorami dobrego tonu.

— Jak się ma doktór Crux? — zapytał pan Morailles.

— Dosyć dobrze, lecz przeciążony pracą... To nie łatwe dla niego zadanie prowadzić ten dom zdrowia w Auteuil: wydatki są wielkie, obowiązki ciężkie, tak iż nawet zastanawia się, czy dalej utrzymywać go.

Sądziłem, że pan jest współdyrektorem?

— Pomagam mu, ile mogę. Crux oprócz zarządu zajmuje się pewnemi specyalnemi chorobami pomieszania zmysłów, ja zaś psycho-nerwowemi.

Panowie przyjmują pacyentów tylko zamożniejszych?

— Rozmaicie zdarza się, bywają lata lepsze i gorsze. W zeszłym roku mieliśmy księcia Sakaradu, dotkniętego niezwykłą chorobą nerwową. Uważał się za psa, szczekał i kręcił się w kółko, jak mops, gdy chce złapać się za ogon. Kręcił się tak aż do wyczerpania, dopóki nie padł charcząc z pianą na ustach.

— Istotnie, to ciekawe.

W przypadku szału pogryzł raz poduszkę i udusił się pierzem.

— To smutne.

— Rodzina płaciła za niego sto tysięcy franków rocznie. Miał swój oddzielny apartament, trzech służących i kucharza. Jadł bardzo wiele i niezmiernie wykwintnie. Ale nie wszyscy nasi pacyenci są tak bogaci. Stosujemy się do zamożności każdego, chociaż mniej nad dziesięć tysięcy franków rocznie nie przyjmujemy. Lecz te szczegóły zapewne nudzą pana?

— O, nie — odparł z westchnieniem markiz — bardzo to mnie interesuje. Zakład panów pozyskał już sobie sławę europejską.

— Istotnie, możemy sobie przyznać, iż zdobyliśmy pewne uznanie dzięki nowemu leczeniu chorób umysłowych.

— Jakież to leczenie?

— Jest ono nadzwyczaj skomplikowane. Choroby umysłowe, pochodzące z neurastenii, podrażnienia nerwowego, osłabienia woli, następnie: histerya, chorobowa autosuggestya, porażenie centrów nerwowych, wreszcie najrozmaitsze rodzaje obłąkania, delirium częściowe, mania prześladowcza, wielkości, paraliż ogólny, cały ten cykl chorób zwyrodnienia umysłowego wymaga wyspecyalizowanych lekarzy praktyków, którzy działają na stronę moralną, a nie fizyczną pacyenta, przez wzbudzenie ku sobie zaufania, przez powagę własną, przekonywanie chorego.

— O, tak... — odrzekł pan Morailles zamyślony.

— Ale nie zapytałem się jeszcze o zdrowie pani markizy?

Od dłuższego czasu Saffroy i doktór Crux leczyli panią Morailles bez żadnego jednak skutku. Nerwowość markizy nie tylko nie malała, ale nawet jeszcze wzmogła się.

— Ach — rzekł smutnym głosem markiz. — Nie mogę ukryć tego przed panem, że moja obawa ciągle wzrasta.

— Nerwy?...

— Co raz gorsze... Pani Morailles stała się ofiarą jakichś uporczywych myśli, rozdrażnienia, które pogarsza tylko ogólny stan jej zdrowia.

— Hypochondrya?... Rozrywki jakie...

— Wie pan, że nie chce żadnych. Wycofała się z życia towarzyskiego, nie wychodzi wcale, mało jada. Wejrzenie jej przestrasza mnie... Czytam w niem jakieś zapomnienie wszystkiego, obawę przed życiem, niewytłomaczony strach...

— Określmy symptomy. Strach, pan mówi?

— Tak. Przerażenie bez najmniejszego powodu, uważa się za zagrożoną przez wrogów niewidzialnych, prześladowaną przez nich.

— O, to bardzo charakterystyczne, mania prześladowcza przedstawia sie w dwóch objawach... No, ale spodziewam się, że jeszcze do tego nie doszło.

— Jak już dawno nie widział pan markizy?

— Ostatni raz byłem, zdaje mi się, przed czterema miesiącami...

— Przestraszyłby się pan zmian, jakie zaszły od tego czasu.

— To bardzo smutne. Pozwoli pan, że zapytam się, dlaczego pan nie zwrócił na to specyalnej uwagi. Pani stan wymaga bezustannego czuwania, odosobnienia, zupełnego spokoju.

Pan Morailles oczekiwał tylko na te słowa. Nie okazał swego zadowolenia, lecz odparł zasmucony:

— Myślałem, że powietrze, spokój leśny...

— O, drogi markizie, w takich wypadkach spokój losu nic nie pomoże. Źródło zła, całej choroby, leży w całem otoczeniu, mieszkaniu, powietrzu, którem oddycha. Właśnie ja i Crux kładziemy wielki nacisk na usunięcie chorego z tego środowiska, w którem przebywał.

— Ach, pan dotyka się najczulszej mej rany. Nie miałem aż de tej pory odwagi na rozłączenie się z panią Morailles. Sądziłem, że przyjazd jej przyjaciółki a zarazem siostry mlecznej, pani Le Chars, wpłynie dodatnio. Skutek jednak był fatalny. Te wszystkie myśli, obawy, wzmogły się tylko.

— Nic dziwnego... Tylko odosobnienie najkompletniejsze, może wpłynąć na polepszenie stanu zdrowia pani markizy.

— Doktór Morane doradzał dłuższą podróż...

Markiz rzekł to, by odwrócić od siebie wszelkie podejrzenie. Saffroy zaś pomyślał, iż może stracić bogatą pacyentkę.

— Doktór Morane należy do starej szkoły. Podróż może tylko wywrzeć zły skutek, gdyż przez zmęczenie wyczerpuje system nerwowy.

— Pańskie zdanie, chociaż oceniam całą jego wartość, sprawia mi jednak wielką przykrość. A przytem markiza nie zgodziłaby się nigdy...

— Wnioskując z tego, co pan markiz powiedział, można się obawiać, iż nadejdzie chwila, gdy pan będzie zmuszony działać bez woli markizy, by ją tylko uleczyć.

— Boję się tego, rzekł pan Morailles ze smutkiem, trzeba jednak przygotować się na wszelką ewentualność. Wyznam panu, że w ostatnich czasach stan żony bardzo się pogorszył.

— Czy pan oglądał kiedy nasz *Instytut neurologiczny?* — zapytał Saffroy.



Upadła do nóg swego kochanka.

— Nie, chciałbym go jednak na wszelki wypadek zwiedzić... Zresztą porozmawiamy o tem po południu.

Służący zapukał do do drzwi i oznajmił:

— Książe d'Eylan i jenerał Desboulets.

— Otóż i moi świadkowie — rzekł markiz z uśmiechem. Poproś tutaj.

XVIII.

STAL PRZECIW STALI.

Książę d'Eylau, choć już postarzał się cokolwiek, trzymał się jeszcze prosto z piersią naprzód podaną, z głową do góry, przypominając żywo postawę swego dziadka, marszałka cesarstwa.

— Dzień dobry, Henryku, dobrze spałeś?... Spokojny jak zawsze w ważnych chwilach?

Jenerał Desboulets o figurze dawnego wojskowego, z siwemi wąsami i hiszpanką, trzymał się prosto jak na paradzie przed cesarzem.

— A pamiętasz jeszcze mój dawny sztych, który ci już raz pokazywałem? — zapytał, wykonywując go zaraz laską.

— Dziękuję, mam ja swój własny, także dobry — odrzekł pan Morailles.

— Ci przeklęci dziennikarze — odezwał się książę d'Eylau — pchają swój nos wszędzie.

— Jakto, przecież ja nigdzie nie czytałem o tym pojedynku — rzekł markiz.

— Nie czytałeś w takim razie *Matin.*

— Nie.

— Czytaj więc — i książę wyjął z kieszeni dziennik.

Na pierwszej karcie widniało wydrukowane dużemi literami:

Głośny pojedynek.

Dwie osobistości wielkiego świata. — Zniewaga nosa z powodu pięknych oczu — Gdzie będą się bili? — Szpada czy pistolet?

Zaklął energicznie.

— Czytaj dalej — rzekł dalej.

Pan Morailles znalazł opisane całe zajście dość przekręcone i powiększone, ale osoby tak jasno zostały określone, iż każdy mógł rozpoznać w nich markiza, hrabiego, jak również i Maud.

— Jak oni mogli się dowiedzieć, oni jedni tylko...

— Tak, ale dzienniki wieczorne i jutrzejsze pełne będą tej sensacyi, jak nazywają każdy pojedynek... — odezwał się jenerał; zresztą można sobie nic z tego nie robić.

— Ależ wcale nie. Jest to nie do zniesienia, aby z powodu prywatnej, honorowej sprawy, która powinna zostać w tajemnicy, jakiś dziennikarz pozwalał sobie niepokoić trzecie osoby, jak w tym wypadku mą żonę.

— Masz zupełną racyę, mój drogi — potwierdził książę — lecz jeżeli sprawi to przykrość twej żonie, sam temu jesteś winien. Nie wstyd ci, że jeszcze wiedziesz taki pusty tryb życia — i poklepał go po przyjacielsku po ramieniu.

— Zresztą — dodał jenerał — nie znają ani świadków, ani miejsca spotkania.

— Tak, ale wiedzą, że się biję i ręczę wam, że oni razem z ajentami będą nas śledzili.

— Do dyabła, to prawda, nie przyszło mi to na myśl.

— W takim razie — zauważył doktór Saffroy — ja wyjdę pierwszy i jak tylko który z dziennikarzy zaczepi mnie, powiem mu, że pan Morailles chory, leży w łóżku i że pojedynek odłożony.

— Nie — odparł stanowczo markiz — ten wybieg nie podoba mi się.

— Ale przecież ty masz drugie wyjście stąd, przez ogród?

— Tak, jest, nigdy nie używane.

— Tem lepiej. Uprzedzę swego szofera, by czekał na nas z tamtej strony i w ten sposób unikniemy wszelkich świadków.

W kwadrans potem wszyscy popędzili samochodem w stronę lasku. Okrążyli jezioro, skręcili na prawo w stronę avenue Longchamp i zatrzymali się przed pawilonem, ukrytym za drzewami. Na progu oczekiwał ich sekretarz księcia.

— Dzień dobry, Picard. Pierwsi jesteśmy?

— Tak, pierwsi.

— Niema żadnych dziennikarzy, ani fotografów?

— Nie widziałem żadnego.

— Obie sale ogrzane?

— Wszędzie napalono.

— Oto i oni — odezwał się jenerał, spostrzegając zbliżające się osoby.

Zamieniono ukłony i wszyscy weszli do środka. Przeciwnicy stanęli przy dwóch przeciwnych ścianach i rozmawiali ze swymi lekarzami, świadkowie zaś zamieniali z sobą ostatnie uwagi, oglądali szpady, badali teren.

— Zdaje mi się — rzekł półgłosem książę — że ta sala jest zupełnie odpowiednia; opalona, co ze względu na obecne zimno...

Pierwszy jednak świadek hrabiego, jakiś magnat węgierski o wielkich czarnych wąsach, okryty futrem, zwrócił uwagę, że cementowa posadzka jest śliska.

— Mamy w takim razie dziedziniec — odpowiedział książę i wyszedł naprzód. — Tutaj jest teren dobry.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Olbrzymi pomnik.

W zamiarze uczczenia pamięci króla Wiktora Emanuela II-go, dziada obecnie panującego Wiktora Emanuela III-go, męża, który położył niezapomniane zasługi w dziele zjednoczenia Włoch, postanowiono mu wznieść na Kapitolu rzymskim wspaniały pomnik, rozmiarami swymi przypominający wielkość tych zasług.

Z załączonych rycin można powziąć wyobrażenie o wielkości pomnika, który zaprojektował rzeźbiarz Chiaradia. Pracował on nad tem dziełem lat cztery, a dokończył go po jego śmierci rzeźbiarz Gallori, odlewu zaś w trzynastu częściach dokonała znana



Olbrzymi pomnik: Tors z pomnika Wiktora Emanuela II-go.

odlewarnia artystycznych bronzów Bastianielli'ego w Rzymie.

Sam tors króla, ubranego w hełm generalski, waży razem z nim 2100 kilogramów i ma 2½ metra wysokości. Siodło z olstrami i munsztuk ważą cztery tonny, a szabla ma przeszło cztery metry długości i 350 kilogramów wagi. Piersi konia ważą 7000, a korpus 9000 kilogramów. We wnętrzu brzucha końskiego może wygodnie pomieścić się do trzydziestu osób. Koń z jeźdźcem stoi na płycie bronzowej, mierzącej 32 metrów kwadratowych powierzchni.

Zauważyć przytem należy, że pomnik, o którym mowa, pomimo swych kolosalnych rozmiarów, jest dziełem pod względem artystycznym zupełnie udanem, co nieczęsto się zdarza przy pomnikach tej wielkości.

Wybryk natury.

Jedną z głównych atrakcyi wiedeńskiego panopticum jest obecnie człowiek, za życia prawie zupełnie prawidłowo, zapadłszy jednak na zdrowiu, zauważył, iż w niektórych miejscach na ciele tworzą mu się obrzmienia, które z czasem coraz bardziej się rozszerzały i twardniały. Początkowo nie zwra-



Olbrzymi pomnik: Koń z pomnika Wiktora Emanuela II go.

pełnie skamieniały. Jest to niejaki Albert Schwarz, pochodzący z Rumunii, a liczący czterdzieści lat życia. Aż do dziewiętnastego roku rozwijał się zucał na to uwagi, sądząc, iż jest to sprawa przejściowa, z czasem jednak, gdy nabrzmienia nietylko się nie zmniejszały, ale owszem zajmowały coraz to dalsze partye mięśni, zasięgnął porady lekarskiej, która niestety okazała się bezskuteczną. Ciekawy wybryk natury badał słynny uczony niemiecki dr. Virchow i zdawał o nim sprawę w berlińskiem Towarzystwie lekarskiem.

Z czasem stwardnienia zajęły prawie całe ciało, głównie plecy, ręce i nogi, a poszczególne ich partye, jak się wyczuć daje przez zewnętrzne powłoki, połączone są nierozdzielnie z kościami. Pozatem czuje się pacyent zupełnie dobrze i ma przynajmniej tę satysfakcyę, iż kalectwo stało się dla niego źródłem wcale przyzwoitego utrzymania. Zaznaczyć należy, iż ciało jego nie jest wcale zdeformowane, jak się to dzieje przy rzadkiej wprawdzie, ale w medycynie zbadanej słoniowaciźnie *(elephantiasis arabum)*.

Ciekawy okaz podziwiają tłumy Wiedeńczyków, a i tamtejsze sfery lekarskie zajęły się nim i poddały Schwarza dokładnym badaniom, które jednakowoż nie wykryły przyczyny, ani rodzaju słabości, która słusznie uchodzi za zagadkę nietylko dla laików, ale i dla uczonego świata. O podobnym osobniku słyszeliśmy już przed kilkunasty laty, zmiany patologiczne nie występowały jednakże u niego w takiej mierze i nasileniu jak u Schwarza, którego dr. Virchow uważa słusznie za nadzwyczajne dziwo anatomiczne, zasługujące na dokładne zbadanie.



Olbrzymi pomnik: Wnętrze brzucha konia z pomnika Wiktora Emanuela II-go.

Zwycięstwo króla Edwarda.

Anglicy są w siódmem niebie: koń „Minoru“, własność pierwszego *gentlemen'a* w zjednoczonem królestwie W. Brytanii, króla Edwarda, wygrał wielką nagrodę na wyścigach w Derby. Entuzyazm



Wybryk natury: Czterdziestoletni Albert Schwarz z Rumunii, którego ciało partyami kamienieje

szalony, jaki z tego powodu ogarnął tłumy asystujące tym wyścigom, można zrozumieć tylko wtedy, gdy weźmiemy na uwagę stosunek, łączący króla angielskiego z jego poddanymi i zamiłowanie do sportu wyścigowego, które przeszło w krew całego narodu.]

Król angielski, to pierwszy szlachcic w swem państwie i jako taki powinien mieć najlepszą stajnię i najlepsze wyścigowce. Ponieważ zaś jest Anglikiem, przeto powinien zapalać się do wyścigów i stawiać przy nich grube zakłady.

Tym razem zadowolenie Anglików spotęgowała jeszcze i ta okoliczność, że od czasu, gdy istnieją wyścigi w Derby tj. od 129 lat, poraz pierwszy koń, będący własnością króla, wziął tam wielką nagrodę. Król Edward, jak się wyrażają Anglicy, pobił w ten sposób swój własny rekord, bo jako książę Walii wygrał był już dwa razy tę nagrodę.

Ryciny nasze przedstawiają króla Edwarda, gdy na torze oczekuje na zwycięskiego „Minoru“, którego dosiadał dżokej Herbert Jones, oraz samego szybkonogiego „Minoru“, który oprócz zaszczytu, wedle pojęć angielskich, przyniósł swemu właścicielowi nagrodę w kwocie 100.000 koron na naszą monetę.

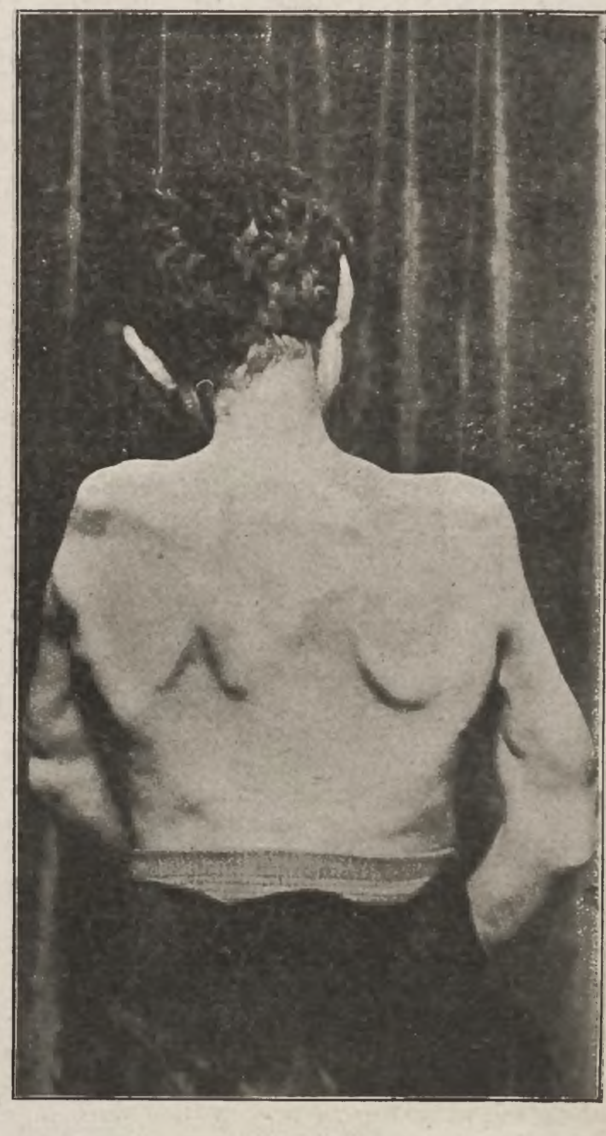
Czworonożni detektywi.

W najnowszych czasach posługuje się policya specyalnie ułożonymi psami, przyuczonymi do tropienia złoczyńców. Prym trzyma w tej mierze policya niemiecka, która tresurę tych zwierząt doprowadziła do pewnej doskonałości, jak to można się było przekonać z zeszłorocznej wystawy czworonożnych detektywów, urządzonej przez tamtejsze organa bezpieczeństwa. Podnosiły się wprawdzie głosy, iż psy te stają się dla ludzi, szczególniej zaś dla schwytanych złoczyńców niebezpiecznymi, zaprzeczył im jednak pruski komisarz policyjny, porucznik Most z Saarbrücken, zajmujący się od lat tym przedmiotem. W ubiegłym tygodniu wygłosił on we Wiedniu w obecności wielu funkcyonaryuszy policyi i żandarmeryi wykład, poparty doświadczeniami, w którym przyznał, iż wprawdzie tresowane psy w wielkich miastach z powodu wzmożonego ruchu zatracają często ślady, na wsi jednak okazują się znakomitymi pomocnikami władz bezpieczeństwa.

Na drugi dzień po wykładzie przedstawił prelegent kilka tresowanych okazów, które przywiózł ze sobą. W powozie zamkniętym przewieziono je z aresztów policyjnych, gdzie znalazły gościnny przytułek, do parku Drehera. I tu zebrało się sporo interesowanych i ciekawej publiczności, a popis wypadł doskonale. Aby żaden z popisujących się czworonogów nie skaleczył przy doświadczeniach któregoś z udających zbrodniarzy, ubrano ich w grube skórzane okrycia, chroniące dostatecznie ciało od możliwego skaleczenia.

Pod kierownictwem porucznika Mosta prowadzili swych pupilów przybyli w tym celu przedstawiciele służby bezpieczeństwa z Saarbrücken Giessen i Wels. Jednym z najciekawszych punktów produkcyi było odszukanie zbrodniarza, ukrytego za krzakiem. Mądry pies, idąc za tropem, wykrył jego kryjówkę, uchwycił za ubranie i nie puścił, choć domniemany złoczyńca starał się go odstraszyć strzałami rewolwerowymi. Ponadto podziwiano zręczność psów przy przenoszeniu wiadomości, pilnowaniu rozmaitych przedmiotów, wyszukiwaniu zgubionych i przeskakiwaniu dwumetrowych przeszkód. Wszystkie próby wypadły ku ogólnemu zadowoleniu zgromadzonych, którzy podziwiali znakomite skutki umiejętnej a cierpliwej tresury. Okazało się dowodnie, iż tresowany pies stanowi dla pełniącego służbę bezpieczeństwa nietylko znakomitą ochronę w czasie grożącego napadu, ale także i bardzo wydatną pomoc w tropieniu i ubezwładnianiu złoczyńców.

Za przykładem Niemiec pójdzie prawdopodobnie i Austrya i wliczy urzędowo czworonożnych detektywów w skład swej służby bezpieczeństwa publicznego.



Wybryk natury: Partye skamieniałych mięśni na plecach Schwarza.



Zwycięstwo króla Edwarda: Koń króla Edwarda „Minoru“, który pod jeźdźcem H. Jones'em wygrał wielką nagrodę „Derby“.



Zwycięstwo króla Edwarda: Król Edward, oczekujący na torze wyścigowym w Derby przybycia swego zwycięskiego konia „Minoru“.

Nadzieja Holandyi.

Holandya, a właściwie królestwo Niderlandzkie, kraik niewielki, liczy bowiem bez kolonij tylko 38.000 kilometrów kwadratowych powierzchni i $5^1/_2$ miliona mieszkańców, oddawna już obawia się o swoją niezawisłość z powodu apetytu, jaki ostrzą



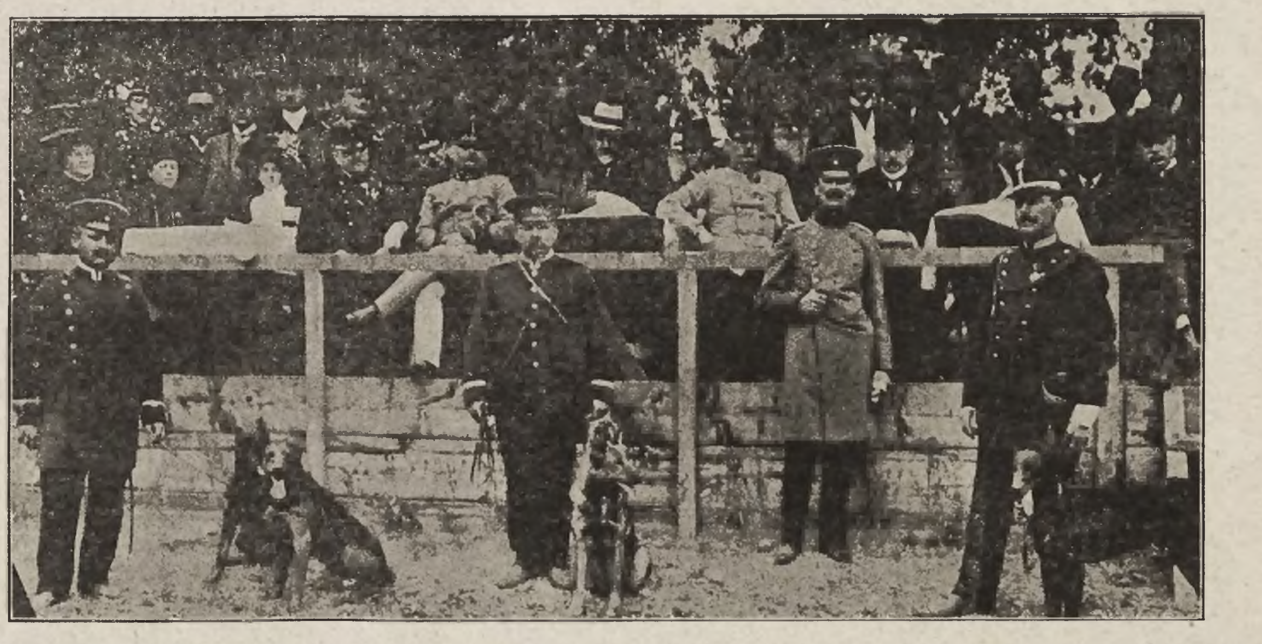
Nadzieja Holandyi: Ks. Henryk z córką Julianną.

sobie na nią zachłanne Niemcy. Ze względu na położenie nadmorskie Holandyi i na jej wygodne porty, a szczególnie z powodu olbrzymio bogatych kolonij, byłby to kąsek nielada dla Niemiec, które z racyi swej ekspanzywnej polityki potrzebują gwałtownie rozszerzenia swego terytoryum w kierunku morza i zdobycia coraz to nowych rynków zbytu dla swego przemysłu i handlu.

Ponieważ małżeństwo obecnej królowej holenderskiej Wilhelminy dłuższy czas było bezdzietnem, a ona sama była ostatnią swego rodu, przeto uśmiechała się Niemcom nadzieja, że po bezpotomnem zejściu jej z tego świata znajdą na podstawie uroszczeń dynastycznych sposobność wmięszania się w sprawy Holandyi, względnie anektowaniu tego kraju.

Nadzieja ta zawiodła ich, jak wiadomo, królowa bowiem Wilhelmina powiła córkę, która jest obecnie prawną następczynią tronu w królestwie Niderlandzkiem. Radość w całym kraju była z tego powodu olbrzymia, ponieważ Holendrzy upatrują w malutkiej księżniczce Juliannie niejako palladium swej niezależności.

Rycina nasza przedstawia szczęśliwego ojca, księcia Henryka, trzymającego na kolanach malutką następczynię tronu, z której istotą związanych jest tyle nadziei wiernych poddanych królowej Wilhelminy, nie mających ochoty rozpłynąć się w wielkiej ojczyźnie kulturträgerów.



Czworonożni detektywi: Popis psów tresowanych do tropienia zbrodniarzy, odbyty w ubiegłym tygodniu we Wiedniu.

Wypadek Zeppelina.

Statek napowietrzny Zeppelina, który w ostatnich dniach odbył kilka szczęśliwych podróży, uległ znowu nieszczęśliwemu wypadkowi i znowu będzie musiał przez dłuższy czas odpoczywać, zanim gruntowne naprawki pozwolą mu się wznieść w powietrze.

Ostatni wypadek zaszedł w Göttyndze. W pobliżu tego miasta, tuż obok tzw. "Rathauskellerwiese", zamierzał sternik balonu „Zeppelin II“ wylądować, ponieważ wyczerpał się zapas benzyny. W chwili lądowania nie zauważył sternik drzewa, koniec balonu zaplątał się w gałęzie i doznał poważnych uszkodzeń. Uległy przedewszystkiem zniszczeniu aluminowe listwy, długie na 30 metrów, a także ster. Części podługowatych listew pospadały pod drzewo, o które balon się rozbił.

Hr. Zeppelin, który w podróży tej udziału nie brał, przybył zaraz po wypadku na miejsce. Przybyła też kompania grenadierów z Ulm, celem pomocy przy naprawianiu uszkodzeń, jakie balon odniósł. Naprawa zupełna potrwa kilka tygodni.

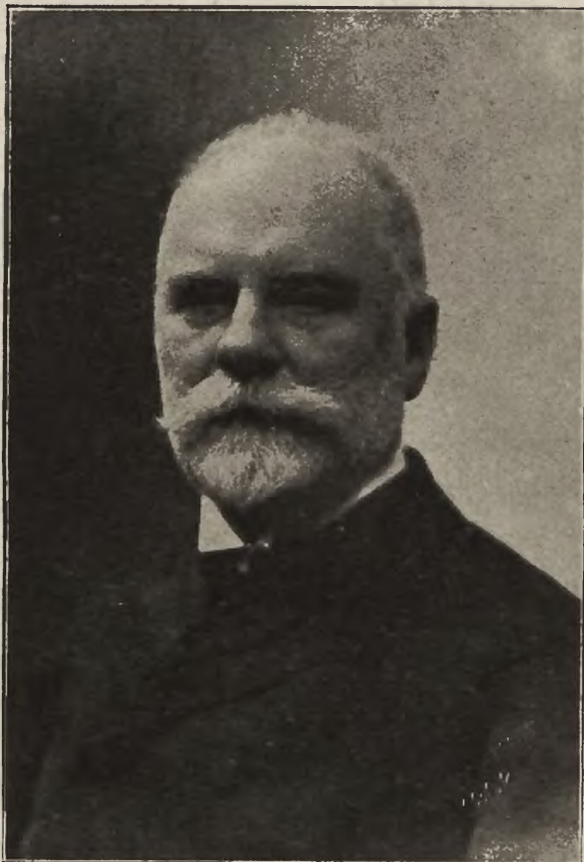
Rycina nasza przedstawia balon „Zeppelin II.“ w parę godzin po wypadku, na tem miejscu, gdzie nastąpiło uszkodzenie.



Wypadek Zeppelina: Balon „Zeppelin II“ obok drzewa, o które się rozbił.

Ułaskawienie Stoessla.

Świeżo jeszcze mamy w pamięci oblężenie Portu Arthura i bohaterskie, bądź jak bądź, walki, które staczały tam obie strony wojujące. W pierwszej chwili po upadku tej twierdzy, cały świat był pełen podziwu zarówno dla generała Nogi, któremu udało się ją zdobyć, jak i dla generała Stoessla, który jej tak długo i tak dzielnie bronił. Cesarz zaś Wilhelm, uzurpujący sobie prawo mianowania rozmaitych ludzi „wielkimi“ i nagradzania ich na swój sposób, obdarzył obu zapaśników wysokim pruskim orderem „pour le mérite“.



Przesilenie gabinetowe: Dr. Biliński, minister finansów.

Gdy jednak po upadku Portu Arthura, przyszła kolej na Cuszimę, opinia publiczna w Rosyi zaczęła się w sposób gwałtowny domagać zbadania przyczyn tych klęsk, które odarły jej siły zbrojne lądowe i morskie z wszelkiego uroku. Wynikiem odnośnych badań w tym kierunku, było wytoczenie procesu generałowi Stoesslowi i admirałowi Niebogatowowi, którzy wyrokiem sądu wojennego z dnia 20



Przesilenie gabinetowe: Dr. Bienerth, prezydent ministrów.



Ułaskawienie Stoessla: Były komendant Portu Arthura, Stoessel, opuszcza (ubrany po cywilnemu) więzienie w twierdzy Petropawłowskiej.

lutego 1908 roku zostali na śmierć skazani, a którym cesarz Mikołaj karę śmierci zamienił na więzienie w twierdzy Petropawłowskiej w Petersburgu.

Przebieg sensacyjnego procesu, jaki poprzedził ów surowy wyrok, wykazał wprawdzie, że główną zasługę dzielnej obrony twierdzy portarthurskiej należy przypisać generałowi Kondratence, ale wykazał także, iż generał Stoessel był w pewnym stopniu kozłem ofiarnym, którego należało poświęcić za winy całego systemu, aby dać zadośćuczynienie opinii publicznej.

Stąd też można było się spodziewać, że cesarz ułaskawi generała Stoessla po pewnym czasie, co się też stało rzeczywiście kilka dni temu. Rycina nasza przedstawia właśnie byłego generała Stoessla— został bowiem z armii wykluczony — gdy ubrany po cywilnemu w otoczeniu swych przyjaciół opuszcza mury ciężkiego więzienia w twierdzy Petropawłowskiej.

Równocześnie ze Stoesslem został uwolniony także admirał Niebogatow.

Wystawa kościelna we Lwowie.

W poprzednim numerze „Nowości illustrowanych“ zamieściliśmy zdjęcie fotograficzne, przedstawiające uroczystość otwarcia wystawy kościelnej we Lwowie, w pałacu Sztuki na placu powystawowym. Wystawie tej dziś poświęcamy kilka uwag, zamieszczając dwa zdjęcia z jej wnętrza.

Wystawa przedstawia się bardzo okazale i przynosi zaszczyt Lidze przemysłowej, która ją zainicyowała i która od szeregu miesięcy nad jej urządzeniem pracowała.

Mieści się wystawa w siedmiu salach pałacu Sztuki, nadto część przedmiotów, głównie dzwony i konstrukcye żelazne schodów, kopuł, galeryj itd. umieszczono na placyku przed pałacem.

Sale wewnętrzne tworzą ze względu na ustawienie rozmaitych barwnych przedmiotów i dekoracyj, ogromnie malowniczy, sympatyczny widok. Że w tem wszystkiem dużo smaku prawdziwie artystycznego, zasługą jest artysty-malarza p. F. Wygrzywalskiego, który zajął się dekoracyjną stroną urządzenia wystawy.

Wśród firm, które wzięły udział w wystawie kościelnej, spotyka się prawie wszystkie wybitniejsze firmy krajowe, o ile ich wyroby mają jakąś styczność z urządzeniami liturgicznemi. Są tam wyroby metalowe, krzyże, monstrancye, kielichy, kandelabry, świeczniki, dalej ornaty, stuły, komże, chorągwie, dalej zegary wieżowe, wyroby ceramiczne, następnie wydawnictwa religijne, obrazy treści religijnej itd. itd.

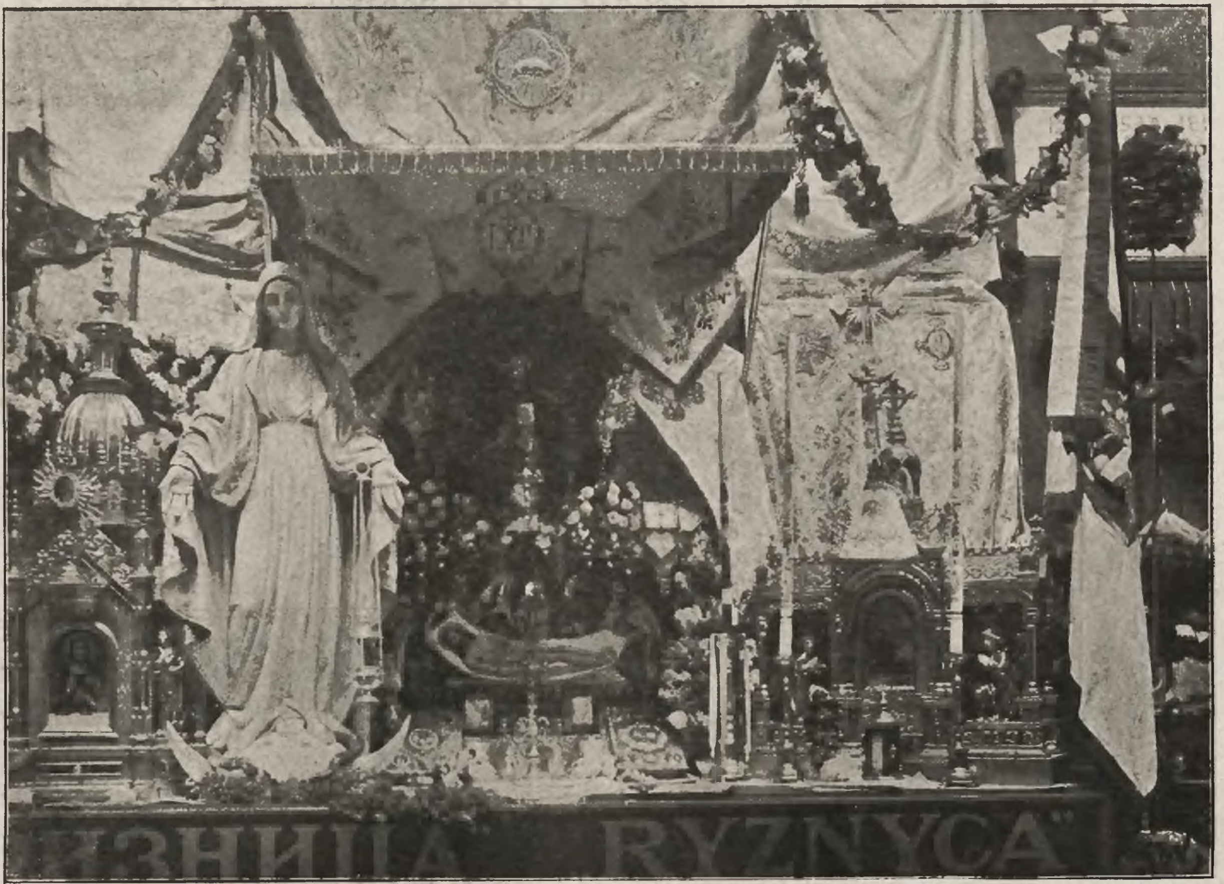
Wystawa cieszy się dużem powodzeniem i codzienie zwiedza ją tłumnie publiczność.

Już w trzecim dniu po jej otwarciu ilość zwiedzających przekroczyła 2500 osób, a szczęśliwy posiadacz 2500 nego biletu wstępu otrzymał nagrodę w postaci pięknego i wartościowego przedmiotu.

Celem zachęcenia publiczności, przyrzeka komitet wystawy każdemu dalszemu setnemu gościowi podarek pamiątkowy.

Ale i bez tego nie brakłoby chętnych zwiedzenia wystawy, bo jest ona i oryginalna i bardzo piękna.

Już ryciny, u nas zamieszczone, dają słabe pojęcie o niezwykłym charakterze pierwszej tego rodzaju wystawy.



Wystawa kościelna we Lwowie: Wyroby tow. „Ryznyca“ w Samborze.



Wystawa kościelna we Lwowie: Fragment z sali z urządzeniem kościelnem.

G. DE TE'RAMOND.

W OBRONIE HONORU.

(TAJEMNICZY NIEZNAJOMY).

1

I.

Zajście na pokładzie „Starego Czarnego Psa“.

Dwudziestego czwartego kwietnia 19.. roku około szóstej godziny wieczorem przybył do starego portu w Marsylii okręt, płynący pod flagą angielską i zaraz wywiesił żółtą chorągiew, żądając przybycia służby zdrowia. Zaledwie wizyta lekarska została skończoną, gdy od okrętu odbiła ośmiowiosłowa łódź i szybko pomknęła do brzegu. W przystani wysiadł z niej mężczyzna w czapce z galonami i zatrzymawszy przejeżdżającą w pobliżu dorożkę, kazał się wieść wprost do głównego biura policyi, gdzie zażądał natychmiastowego widzenia się z komisarzem. Wprowadzony po kilku chwilach oczekiwania do gabinetu dyżurnego urzędnika, odrazu przystąpił do wyjaśnienia powodów swej wizyty.

— Jestem, panie komisarzu, kapitanem „Starego Czarnego Psa“, trójmasztowego parowego statku, należącego do towarzystwa „The Universal Maritime Company“, mającego swą siedzibę w Liverpoolu. W Nowym Orleanie przyjąłem ładunek bawełny, którą miałem dostawić do Glasgowa na rachunek domu handlowego Hudchinson and Sons. W przeddzień odjazdu zjawił się u mnie mężczyzna mniejwięcej czterdziestoletni o miłej powierzchowności, wykwintnych ruchach, z długą, rudawą brodą, która mu nadawała jakiś specyalny, lecz sympatyczny wyraz; z mowy poznałem w nim zaraz Amerykanina.

— Kapitanie — rzekł mi — z powodu przykrego wypadku spóźniłem się przed kilku dniami na statek, który miał mnie zawieść do Europy, dokąd wzywają mnie bardzo ważne sprawy. Czy zechce mnie pan przyjąć na swój pokład? Zapłacę cenę, jakiej pan zażąda.

Przepisy Maritime Company nie zabraniają nam przyjmowania przygodnych podróżnych, którzy stanowią dla nas źródło ubocznych dochodów. Rzadko ich jednak miewamy, gdyż okręty nasze nie posiadają urządzeń niezbędnych dla pasażerów. Zwróciłem też uwagę swemu gościowi, iż nie mogę mu dać żadnej kajuty.

— Zajmę w takim razie pańską — odpowiedział obojętnie.

— A ja?

— A pan pomieści się w kajucie swego pomocnika.

— A mój pomocnik?

— Weźmie kajutę starszego majtka.

— A starszy majtek?

— Umieści się gdzie zechce... na pokładzie lub w bocianiem gnieździe!... A zresztą, cóż do dyabła mogą mnie obchodzić te drobnostki!...

Komisarz zaczął się śmiać i przerwał marynarzowi:

— Nie miał już pan potem najmniejszej wątpliwości, że był to Amerykanin?

— Najmniejszej, *by Jove!* Miał on dokumenty w największym porządku, wydane na imię sir Jonatana Williama Forstera z Bostonu. Wobec tego mogłem go śmiało przyjąć na swój pokład. Był to niespodziewany, a bardzo pożądany dochód; moje wynagrodzenie jest bardzo skromne, a w Liverpoolu mam żonę i trzy córki. Odstąpiłem mu więc swoją kajutę; kazał do niej przenieść sporo wiktuałów i wkrótce, na kilka godzin przed podniesieniem kotwicy, sam się zjawił. Bagaże zaś swoje, jak mi mówił, wysłał statkiem, na który się spóźnił. Tłomaczenie to wydało mi się zupełnie naturalne i pan, panie komisarzu, również by je za takie przyjął...

— Owszem, lecz nie widzę...

— Zaraz. Nie opuszczał swej kajuty, dokąd przynoszono mu jedzenie, chyba tylko, by strzelać do mew, a nie chybiał nigdy. W gruncie rzeczy nie bardzo mi się to podobało. Ja lubię wesołą kompanię; jestem, jak u nas mówią, *jolly old fellow*, spodziewałem się też, że mój pasażer zabawiać się będzie w czasie podróży szampanem i pokerem, grając go ze mną i z mym pomocnikiem. Chętnie grywam w pokera. Jest to gra, w której naprężenie nerwów na chwilę nie słabnie. Zdarzyło mi się nawet pewnego razu w jednej z kawiarń liverpoolskich...

— I ja jestem, panie kapitanie, wielkim zwolennikiem pokera i proszę mi wierzyć, że żadna tajemnica tej gry nie jest mi obcą, ponieważ jednak tego wieczoru czas ma dla mnie podwójną wartość, możebyśmy powrócili do przedmiotu.

— Zaraz do niego przystąpię.

Przepływaliśmy właśnie sześćdziesiąty stopień południka, gdy pasażer mój podszedł ku mnie na tył okrętu, gdzie paliłem fajkę i zapytał:

— Do którego portu pan teraz zmierza?

Odpowiedziałem mu, śmiejąc się, lecz zarazem i zdziwiony jego pytaniem:

— Wie pan dobrze, że do Glasgowa.

— Moglibyśmy jednak, gdyby kapitan zechciał — rzekł mi tonem zupełnie spokojnym — udać się i do Marsylii.

— Niestety — odparłem — jest to niemożliwe.

— Ponieważ?...

— Ponieważ muszę jechać do Glasgowa, a nie gdzieindziej.

Obrzucił mnie bystrym wzrokiem i rzekł stanowczo:

— Niech pan jedzie do Marsylii.

Wzruszyłem ramionami i obróciłem się do niego plecami, naleganie to bowiem jego zaczynało mnie drażnić.

Dodał po cichu:

— Kapitanie, proszę się namyśleć, dziesięć tysięcy franków dla pana...

— Czy tylko tyle? — odezwałem się.

— Dwadzieścia tysięcy.

— Nie.

— Trzydzieści.

Byłem jak olśniony.

A więc moje trzy córki skazane na staropanieństwo z powodu biedy i brzydoty, byłyby wyposażone i nie krwawiłyby już mego serca swemi skargami i żalami!

Obowiązek jednak zwyciężył.

— Nie, *by Jove!* — odpowiedziałem stanowczo — za żadną cenę...

Mówił dalej z zupełnym spokojem.

— Kupię cały ładunek okrętu.

— Nie do mnie on należy.

— Kupię więc okręt.

— Nie jest do sprzedania!

Odchodziłem już rozgniewany od tego postrzeleńca, gdy on naraz zagwizdał. Na ten sygnał cała załoga zbiegła się w mgnieniu oka na pokład.

— Załatwcie się z oficerami — rozkazał....

— Schwyciłem za rewolwer, by strzelić do pierwszego, kto zbliży się do mnie, nie zdążyłem jednak uczynić jeszcze żadnego ruchu, gdy zostałem skrępowany i ubezwładniony, jak również i mój pomocnik. Pojąłem teraz, że mój pasażer przekupił majtków i stał się panem statku.

— Przekonał pan się teraz — rzekł mi — jak źle pan uczynił, odmawiając mej prośbie. Obejdziemy się bez pana, czyż nie tak, chłopcy?

— Hip! Hip! Hurra! — zawołali wesoło.

— Nie jestem rozbójnikiem morskim — ciągnął dalej Forster i — niemam najmniejszego zamiaru zrabowania towarów „Starego Czarnego Psa“. Zależy mi tylko bardzo na dostaniu się do Marsylii, a gdy postanowię coś, muszę zawsze tego dokonać. Pozostanie pan zamknięty w swej kajucie, dopóki nie dojedziemy do portu, w którym chcę wylądować. Narazie do widzenia!

Stało się tak, jak powiedział.

Gdyśmy wpłynęli między skały Pharo, oswobodzono mnie w istocie i mogłem objąć kierownictwo okrętu, jakby nic nie zaszło. Moją pierwszą czynnością było wywieszenie żółtej chorągwi, by przybyła komisya lekarska. Gdy jednak oczekując jej przybycia, zacząłem szukać swego gościa, on znikł i niedomyślam się nawet, w jaki sposób umknął z pokładu....

W biurze policyi zapanowało długie milczenie. Komisarz ze zdziwieniem przyglądał się kapitanowi, jakby podejrzewał, czy przypadkiem słońce w koloniach zamorskich nie zbyt silnie prażyło w czaszkę tego dzielnego wilka morskiego.

Kapitan domyślił się zapewne tych posądzeń, gdyż dodał:

— Pomocnik mój potwierdzi zresztą panu całe to zajście.

Komisarz, nie wiedząc, co ma uczynić, poskrobał się w głowę, lecz by załatwić się szybko z tą sprawą, której nie chciał przyjąć seryo, zapytał:

— Więc przeciw komu wnosi pan skargę?

— Przeciw nikomu, *bless me!* Ten Forster zapłacił mi z góry wszystko, czego żądałem. Co zaś do majtków, to „Universal Maritina Company“ ukarze ich sama za niesubordynacyę. Tutaj chcę nabrać tylko węgla i wrócić do Glasgowa.

— A więc! — rzekł komisarz, podnosząc się szybko, zadowolny, że ta rozmowa już się skończyła — mogę tylko życzyć szczęśliwej podróży!

— Dziękuję, sądzę jednak, że pasażer, który w ten sposób postąpił, musiał mieć ważne powody do wylądowania we Francyi w tajemnicy i właśnie przybyłem tutaj, by przestrzedz pana o tem.

Komisarz, jakby tknięty myślą jakąś, podskoczył, potem siadł szybko i zaraz nacisnął dzwonek elektryczny. Natychmiast otworzyły się drzwi i ukazała się w nich głowa ozdobiona kepi.

— Czy pan Lapipe jest?

— W tej chwili przyszedł, panie komisarzu.

— Proszę go przysłać do mnie. Jestem pańskiego zdania — odpowiedział kapitanowi — sprawy tego pana może zainteresują i mnie. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności posiadamy tutaj obecnie najsprytniejszego agenta paryskiego. Niech on tropi dalej za tym śladem.

Zaledwie skończył, gdy ukazał się agent.

Był to niski, szczupły, kościsty człowiek o pergaminowej twarzy, przypominającej chłopców angielskich, którzy starzejąc się, zachowują wyraz i kształty młodzieńcze. Niezwykłe jednak oczy błyszczały specyalnie żywo i rzucały spojrzenia, które mogły na wskroś przeniknąć człowieka.

Ukłonił się i czekał.

Gdy kapitan na prośbę komisarza powtórzył swe opowiadanie, agent potrząsł powoli głową i nie odejmując wzroku od podłogi, której przyglądał się, jakby rozmawiał sam z sobą, powiedział:

— Sprawca zamachu dynamitowego na bank chicagowski miał wszelkie powody do postępowania w ten sposób. Zbyt on jest przezorny, by nie przypuszczał, że rozesłano jego rysopis do wszystkich portów i by nie obawiał się zaaresztowania, gdy będzie wysiadał na brzeg. Nie jest więc niemożliwością, że to może być on, w każdym razie można się upewnić co do tego.

I dodał głośno:

— Czy pan komisarz upoważnia mnie?...

Komisarz przerwał z uśmiechem:

— Panie Lapipe, jak zawsze ma pan zupełną swobodę działania.

Agent spojrzał na zegarek.

— Ósma godzin. Jeżeli ten jegomość jest tym, o którym myślę, pierwszą jego czynnością będzie wyjazd do Paryża, by zniknąć w tłumie, w którym trudno, jeżeli nie niemożebnem będzie, odnaleść jego ślad. Wsiądzie do kuryera o dziewiątej godzinie, jest to pierwszy, a zarazem najdogodniejszy pociąg. Byłoby dobrze, gdyby pan kapitan zechciał mi pomódz tego wieczoru.

— *God dam!* — zawołał kapitan, szczęśliwy, że może się zemścić na tym *rascal*, który zamknął go w kajucie; — jestem do pańskich usług.

— Zrobimy tak! Pójdziemy na dworzec, gdzie umieszczę pana w takiem miejscu, z którego będzie pan widział wszystkich podchodzących do kasy. Jeżeli on będzie jechał do Paryża, będzie musiał zbliżyć się do okienka. Wtedy, by nie zwrócić uwagi, uchyli pan tylko swej czapki i pozostanie pan nadal na miejscu, dopóki ja się nie zjawię.

— *All right!*

Agent i kapitan wyszli razem, komisarz zaś zabrał się do zredagowania raportu o tej sprawie, w której przypisywał sobie główną rolę.

— Nie można zapominać o awansie — mruknął do siebie — jeżeli jest to ten sławny złodziej z Chicago, odrazu wypłynę na wielkie wody.

. . . .

— Czy pan kapitan jedzie teraz do Paryża?

Anglik spojrzał zdziwiony na służącego w czapce kolejowej, który go w ten sposób zaczepił, ponieważ jednak nic nie odpowiedział, ten dodał po cichu:

— Nie poznaje mnie pan?

— *No!*

— Agent Lapipe.

— Ach, *very well!*.... *by Jove*, w tej czapce i z takimi wąsami czarnymi, mister Lapipe...

— W naszym zawodzie trzeba posiadać trochę zręczności. Lecz nie o to chodzi. Czy jest pan pewny, że to nasz jegomość brał przed pięciu minutami bilet przy okienku?

— Najzupełniej pewny!... jest to on... tylko mój pasażer miał długą rudą brodę, a ten nosi na sposób węgierski czarne faworyty, przytem zmienił ubranie i kapelusz... Wahałem się też... Lecz nagle spojrzał on w moją stronę i bałem się, czy mnie nie dojrzał w mem ukryciu... wtedy jednak spostrzegłem jego oczy niebiesko-stalowe, jasne i bystre, których nie można zapomnieć, gdy się już raz je widziało.. To on, mister Lapipe... Wyszedł tamtemi drzwiami.

Ajent roześmiał się.

— Wiem o tem. Usadowił się już w sypialnym wagonie, dokąd mu sam zaniosłem walizę.

— Pan?... — zdziwił się kapitan.

— Tak; pragnąłem upewnić się, czy jedzie do Paryża. W tem ubraniu służącego kolejowego mogę czuwać nad nim przez całą noc. Już go nie opuszczę. Niech pan wróci na swój okręt, panie kapitanie i pozwoli podziękować sobie. Może oprócz sławy, która uwieńczy mą karyerę policyjną, panu będę zawdzięczał sto tysięcy franków, które bank w Chicago przeznaczył na nagrodę za aresztowanie złodzieja. Będę już mógł przedzierżgnąć się z agenta w hreczkosieja, co oddawna stanowi moje i mej matki marzenie.

Uchylił grzecznie czapki i wskazując na ulicę, rzekł uprzejmie:

— Niech pan pójdzie tym bulwarem aż do drugiej ulicy i skręci na prawo, potem przy trzeciej na lewo i na końcu ujrzy pan port...

I pozostawiając na miejscu kapitana, wskoczył do pociągu, który wkrótce ruszył, unosząc z sobą dwóch ludzi, od tej chwili już nie rozłączonych z sobą.

II.

Nowy opiekun.

Następnego dnia około dziesiątej rano pociąg z Marsylii wtoczył się z hałasem na dworzec. Z wagonu sypialnego wyszedł powoli jakiś cudzoziemiec i przeciskając się przez tłum ludzi, zgromadzonych przy innych wagonach, skierował się ku wyjściu. Średniego wzrostu, w miękkim kapeluszu, ubrany w jasny kostyum, trzymając w ręku żółtą walizę, niczem nie zwracał na siebie uwagi, chyba tylko faworytami, przystrzyżonymi na modę południowo-amerykańską, które nadawały mu jakiś egzotyczny wyraz, najlepiej określony paryskiem słowem: *rastaquouère*.

Przed dworcem rozejrzał się dokoła, jakby chciał się zoryentować w miejscowości, potem po krótkiem wahaniu skierował się do znajdującej się w pobliżu stacyi omnibusów, wszedł na imperial pierwszego wozu i zapalając cygaro czekał, aż omnibus ruszy. Przytem wszystkiem nie spostrzegł tylko, iż z wagonu wysiadł za nim jakiś mężczyzna i na chwilę nie spuszczał go z oka, usadowiwszy się w pobliżu niego w dorożce. Był to niski mężczyzna o siwawych wąsach, w czarnem ubraniu, w binoklach o wyrazie twarzy starego urzędnika. Z dorożki swej mógł on doskonale przyglądać się gościowi w omnibusie, który siedział zwrócony do niego plecami. W oczekiwaniu na odjazd zaczął rozmyślać o przedmiocie swej obserwacyi.

— Jak na tak sławnego oszusta nie wydaje mi się wcale przezornym. Zapomina, że policya nie daje się tak łatwo wywieść w pole. Szczęśliwy wypadek pomógł mu wiele, lecz niestety i mnie się on przytrafił, bo gdybym nie znalazł się w komisaryacie razem z tym dzielnym kapitanem, mój jegomość spacerowałby spokojnie ze skradzionymi milionami. Teraz jednak, gdy mam go już na oku, słowo Lapipa, że nie umknie! Przyznaję, że plan jego był wspaniały, lecz na końcu teraz pośliznęła mu się noga. Cóż to za myśl siadać jak porządny mieszczuch na imperyalu w omnibusie, kiedy daleko prościej było zmieszać się z tłumem przy podziemnej kolei, gdziebym prędko zgubił jego ślad. Zbyt jest pewny siebie i nie pomyślał, że złoczyńca winien najwięcej mieć się na ostrożności wówczas, gdy uważa się za zabezpieczonego. Na twarzy jego pojawił się uśmiech na wspomnienie planu strategicznego, jaki mu się wczoraj wieczorem udał.

— Istotnie — myślał — trudno było rozpoznać agenta Lapipe w służącym kolejowym, który odniósł mu do wagonu walizę i czuwał przez całą noc, by go opuścić tylko na godzinę przed przybyciem do Paryża dla przebrania się w inne ubranie. Wkrótce dowiem się, gdzie ptaszek myśli skryć się; znak telefonem do prefektury i zostanie schwytany w gniazdku....

Tymczasem woźnica wdrapał się na kozioł omnibusu, pociągnął lejcami, trzasnął batem i wielki wóz pełen pasażerów ruszył naprzód, a za nim dorożka z agentem.

Lapipe nie tracił ani jednego ruchu jegomościa, którego postanowił śledzić. Po zanotowaniu w notesie numeru omnibusu, zapisał sobie dla pamięci, iż „jego“ człowiek wyciągał często z kieszeni małe lustereczko, w którem przyglądał się i czesał swe ciemne faworyty. Zauważył także, iż po zapłaceniu biletu na imperialu, zażądał biletu przenośnego na inny omnibus.

— Niema tak dobrego szczegółu, któryby mi się nie przydał po tem — szepnął do siebie. — Zwykła szpilka zgubiona przez złoczyńcę naprowadza nieraz na jego ślady...

Omnibus wjechał już na wielkie bulwary, gdy naraz zaszedł niezwykły wypadek, który podajemy według opisu dzienników:

„Dziwny zbawca.

Dzisiaj rano na bulwarze Poissonnière przechodnie byli świadkami dramatycznej, pełnej oryginalności sceny, w której pewien nieznajomy okazał rzadką zimną krew i nadzwyczajną zręczność.

Koło godziny jedynastej omnibus Nr. 256 znajdował się przy ulicy Hauteville, gdy dwie panienki, około dwunastu lat, każda jadąca w towarzystwie służącej, dały znak konduktorowi, by zatrzymał omnibus. Na nieszczęście zapomniały one o rozporządzeniu policyjnem, przybitym w każdym omnibusie — ale tak wysoko, że trudno go dojrzeć okiem — które radzi, „by pasażerowie nie odsuwali się od wozu do tej pory, póki nie przekonają się, że ulicą można przejść spokojnie“.

W chwili właśnie gdy zstępowały na bruk z ulicy Hautewille, wybiegł rozhukany koń, zaprzężony do bryczki i przewrócił dwóch strażników, chcących go zatrzymać. Przerażenie ogarnęło przechodniów: biedne dziewczynki nie miały już czasu dobiedz do trotuaru i byłyby zostały roztratowane, gdy nagle rozległ się strzał i koń trafiony w czoło, padł na ziemię na metr tylko przed ocalonemi w ten sposób dziećmi.

Strażnicy Stojak i Chodzik, ofiary swego poświęcenia, zostali przeniesieni do szpitala. Stan ich, chociaż nie ciężki, wymaga jednak kilku tygodni spoczynku.

Dodać musimy, że skrupulatna policya, która nigdy nie zapomina o swych prawach, wystosowała oskarżenie przeciw zręcznemu nieznajomemu za noszenie broni zakazanej; kula znaleziona w czaszce konia, wskazywała na niedozwolony kaliber rewolweru“.

Pod opisem tego wypadku, czytelnicy znaleźli przedstawienie inne, również rzadkiego faktu:

„Szlachetny filantrop.

Na wielkich bulwarach, naprzeciw teatru „Nowości“ zebrała się w południe grupa ludzi dokoła młodej pięknej dziewczyny, która żałośnie płakała na ławce.

Zapytana o powód zmartwienia, odrzekła, że jakiś chłopiec oblał farbą suknię haftowaną, którą odnosiła właścicielce. W ten sposób utraciła nie tylko swój kilkutygodniowy zarobek, lecz ponadto musi obecnie zwrócić należność za zniszczoną materyę, a nie ma z czego, gdyż żyje tylko z pracy swych rąk.

Jakiś przechodzień, który słyszał jej opowiadanie, zbliżył się do niej dyskretnie i wsunął jej w rękę banknot pięćsetfrankowy. Gdy podniosła się, by mu podziękować, szlachetny ofiarodawca znikł niepostrzeżenie w tłumie.

Panna Izabella Levassewi, hafciarka, mieszkająca przy ulicy Chemin-Vert 34 w Belleville, prosi nas o złożenie publiczne jej najgłębszej wdzięczności nieznanemu dobroczyńcy i o wyrażenie jej żalu, że nie mogła tego uczynić osobiście“.



Z wagonu sypialnego wyszedł powoli jakiś cudzoziemiec.

Nikt zapewne nie przeprowadził łącznika między tymi dwoma, tak różnymi faktami, ani nie pomyślał, że dziwny zbawca i szlachetny filantrop są jedną i tą samą osobą. Jeden tylko ajent Lapipe wiedział, że pod temi dwiema postaciami zdołał już wystąpić niezwykły pasażer kupieckiego statku, J. W. Forster z Bostonu. Od dworca kolejowego nie spuścił go ani na chwilę z oczu. Widział, jak wyciągnął z kieszeni rewolwer i strzelił do konia.

— Oto jest prawdziwy jankes! — pomyślał.

Pilnie go śledził, gdy zeskoczył pospiesznie z imperyalu i wmieszał się w tłum, jak człowiek, który chce uniknąć wszelkiego spotkania.

— Poco trudził się braniem biletu na inny omnibus! — roześmiał się do siebie.

Był świadkiem także, jak wsunął banknot płaczącej dziewczynie i oddalił się szybko.

— Jak to łatwo być szlachetnym, mając pieniądze drugich! — mruknął gniewnie Lapipe.

Mimoto nie aresztował go. Gdy policya natrafi na wybitniejszego złoczyńcę, zawsze śledzi go przez jakiś czas, by w ten sposób odkryć jego wspólników i miejsce ich przebywania. Tak postanowił postępować Lapipe Do tego skłonił go i wypadek, który niespodzianie zaszedł. Idąc za nim w pewnej odległości, by nie być spostrzeżonym, a widzieć wszystkie jego ruchy, przekonał się naraz, że jeszcze ktoś drugi śledzi Forstera. Nie mógł się mylić: dwóch ich szło za Amerykaninem. Zbadał także szybko, że ten drugi nie należy do jego „zawodu“. Jego śledzenie było zbyt niezręczne, by mogło być zawodowem. Był to jeden z włóczęgów ubranych elegancko, bandytów snujących się po bulwarach w poszukiwaniach za coraz nowemi ofiarami, który, będąc świadkiem sceny przy ławce, podejrzewał w szlachetnym filantropie jakiegoś bogatego cudzoziemca lub przybysza z prowincyi, łatwego do ograbienia.

Lapipe potarł sobie z zadowolenia ręce. Jeden złodziej chce okraść drugiego! Nic nie wydawało mu się śmieszniejszem od tego. Przypomniał sobie, jak wyciągnął raz z wody wielką rybę, która pożerała małą, złapaną na wędkę. Porównanie to bardzo go bawiło.

Tymczasem Forster opuścił bulwary i po minięciu ulicy Clichy, dotarł do ulicy Biot i zatrzymał się przed skromnym, lecz miłym hotelikiem „Księcia Portugalskiego“. Wszedł do środka.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tajemniczy dramat we Lwowie.

Wśród niezwykłych, zastanawiających swą formą okoliczności, rozegrał się w piątek, 5 czerwca, w jednym z lwowskich hoteli tajemniczy dramat.



Tajemniczy dramat we Lwowie: Wanda Wąsowiczówna.

Praktykant leśnictwa Stanisław Kolbe z Truskawca zajechał tam przed dwoma dniami z młodą, przystojną panną Wandą Wąsowiczówną, nauczycielką z tej samej miejscowości, córką zamożnych rodziców z Drohobycza. W kartce meldunkowej zanotowano nazwisko Schneider z siostrą. Nie dziwiło służby hotelowej, że brat i siostra zajęli pokój, ale zachowanie ich dało dużo do myślenia. Wezwano więc interwencyi policyi.

Zjawił się tedy w hotelu ajent policyjny, by sprawdzić nazwisko owych gości hotelowych. Kolbe oświadczył mu, że ma stryja we Lwowie, znanego profesora, zapewnił też, że następnego dnia rachunek wyrówna.

Podczas tej rozmowy zerwała się, leżąca dotąd na łóżku Wąsowiczówna i prosiła ajenta, by jej pomógł wyjść z pokoju, bo czuje się niezdrową. Zaprowadzono ją do miejsca ustępowego, dokąd wszedł i brat.

W tej chwili huk strzału oszołomił stojących w sionkach. Z łoskotem rozwarły się drzwi wychodka i wypadła z nich z jękiem na ustach Wanda Wąsowiczówna, padając w objęcia kucharki. Na podłodze leżał już martwy Kolbe, trzymając w nerwowo skurczonej dłoni morderczą broń.

Z wielu okoliczności widoczne, że czyn ten spełniony został za zgodą obojga. Wanda Wąsowiczówna walczy w szpitalu z śmiercią.

Przesilenie gabinetowe.

(Do illustracyi na str. 9 i 10).

Chroniczna choroba Austryi odnowiła się po krótkiej bardzo przerwie. Gabinet bar. Bienertha chwieje się. Zwłaszcza niepewne jest stanowisko ministra finansów, dra Bilińskiego, który swym projektem wyższego opodatkowania piwa i wódki zniechęcił ku sobie niemal wszystkie stronnictwa Izby posłów.

Szczególniej jednak namiętnie zwalcza dra Bilińskiego polskie stronnictwo ludowe, które zarzuca ministrowi, iż prowadzić chce politykę antisłowiańską. Stąd też walka przeciw drowi Bilińskiemu ma charakter zasadniczy i polityczny.

Jubileusz lekarza.

Dnia 5 b. m. obchodzono w Warszawie jubileusz ćwierćwiekowej pracy zawodowej dra Franciszka Kijewskiego, znanego chirurga i ordynatora w szpitalu św. Rocha.

Jubilat jest rodowitym Warszawianinem, liczy lat 51 i w mieście rodzinnem ukończył szkoły średnie oraz uniwersytet.

Obok nadzwyczaj rozległej i szczęśliwej praktyki znajduje dr. Kijewski czas na pracę naukową, której rezultatem jest przeszło trzydzieści rozpraw, ogłoszonych w krajowych i zagranicznych fachowych pismach. Za jedną z nich, p. t. „Guzy hemoroidalne“, otrzymał medal złoty.

Jako chirurg odznacza się dr. Kijewski wielką



Jubileusz lekarza: Dr. Franciszek Kijewski.

dokładnością przy operacyach i dbałością wobec chorych, jako zaś przełożony wyróżnia się rzadką serdecznością wobec swych asystentów, którzy wiele korzystają z jego doświadczenia i wiedzy.

W uczcie, jaka zgromadziła przeszło siedmdziesiąt osób w salach Resursy kupieckiej, wzięli udział



Straszny wybuch prochowni: Roboty szklarskie na dworcu kolejowym w Podgórzu-Płaszowie.

przeważnie lekarze, koledzy i asystenci zasłużonego jubilata, a także grono jego przyjaciół osobistych, których tak wielu liczy w Warszawie.

W czasie uczty przemawiało wielu obecnych, a. między nimi sędziwy dr. Kosiński, niegdyś profesor jubilata, który wzruszony gorącymi dowodami uznania i sympatyi, zabrawszy głos zapewniał, że posłużą mu one jako bodziec do dalszej wytrwałej pracy.

KRONIKA TYGODNIOWA.

(Najważniejsze zdarzenia. — Zaćmienie księżyca. — Morderstwo czy samobójstwo. — Wybuch prochu. — Polowanie na senzacye. — Bienerth czy Biliński? — Tasiemiec polityczny.— Opozycya przeciw nowym podatkom. — Żenić się, czy nie?— Orzeczenie Najwyższego Trybunału).

Gdyby każdy tydzień obfitował tak w sensacye, jak miniony, życie dziennikarza, a głównie c. k. referenta kronikarskiego, byłoby godnem pozazdroszczenia, nie mógłby nigdy uskarżać się na brak materyału.

A zanosiło się początkowo na bezrybie. Już w nocy z 3 na 4 czerwca zawiódł nasze oczekiwania księżyc, którego zaćmienie mieliśmy podziwiać po północy, gdyż chmury gęstą powłoką pokryły niebosklon i ukryły złocisty miesiąc przed oczyma astronomów. Mając z dawnych czasów wielką skłonność do badania gwiazd, wystarałem się u swej prawowitej władzy domowej o tak zwany „przepustkę“ i w jednem z krakowskich obserwatoryów gastronomicznych czekałem sposobnej chwili, kiedy będzie można rozpocząć badania. Jak na nieszczęście deszcz rozpoczął sobie spokojnie kapać, miałem jednak nadzieję, iż do pierwszej się wypogodzi. Niestety zawiodłem się, wysyłani co chwila na podwórze chłopcy wracali z wiadomością, iż deszcz nietylko nie ustaje, owszem przybiera na sile. Zdeterminowany postanowiłem i tak skorzystać z pozwolenia i powrócić dopiero rano, zdanie moje podzielało wielu innych amatorów-astronomów, których wracając spotykałem nad ranem mocno „zawianych“. Widocznie zaszkodził im chłód poranny. Myślałem, że odwetuję sobie niepowodzenie przy zaćmieniu słońca, przypadającem na noc z 17 na 18 czerwca, zdaje się jednak, iż pozwolenia na studya nie otrzymam, albowiem 1) zaćmienie przypada na noc, a wtedy u nas słońce śpi, 2) w naszych okolicach nie będzie ono widzialne, 3) w jednym i tym samym miesiącu drugiego pozwolenia na opuszczenie ogniska domowego nie otrzymam. Z tej przyczyny i fachowe sprawozdanie o obu zaćmieniach z przyczyn od Redakcyi niezależnych odłożone być musi *ad calendas graecas*.

Natomiast dzień 5 czerwca był dniem krytycznym pierwszego rzędu dla Krakowa i okolicy. Wczesnym rankiem rozeszła się po mieście wieść o samobójstwie znanego krakowskiego adwokata dra Włodzimierza Lewickiego, osobistości cieszącej się sympatyą w szerokich kołach naszego społeczeństwa. Przechodząc z ust do ust wieść rosła i ulegała różnym modyfikacyom, koło południa było jednakże już pewne, iż dr. Lewicki nie żyje i że prawdopodobniejszem jest morderstwo, niż samobójstwo. Z nazwiskiem Lewickiego spleciono i nazwisko Janiny Borowskiej, która w ostatnich czasach zajmowała bardzo szeroko opinię publiczną. Jaki udział miała ona w tej sprawie, dotąd nie wiadomo, pogłoskom wierzyc na ślepo nie można, a policya zachowuje dyskretne milczenie. Pani Borowska była obecną w mieszkaniu dra Lewickiego w chwili jego rzekomego samobójstwa i na tej też podstawie została aresztowaną i osadzoną w aresztach sądu krajowego, gdzie stanowczo przeczy, jakoby miała być sprawczynią pośrednią lub bezpośrednią śmierci młodego człowieka. W każdym razie rola jej w całem zajściu jest conajmniej niejasna. Miał Paryż sensacyę w osobie Steinheilowej, ma ją obecnie Kraków w osobie Borowskiej

Rzecz prosta, że o tajemniczym zgonie dra Lewickiego rozmawiał cały Kraków. Zapomniano o polityce zagranicznej i krajowej, kawalerowie nie biadali nad swym losem nieszczęsnym, który im dr. Biliński nowym podatkiem chce jeszcze bardziej obrzydzić, sufrażystki zapomniały na chwilę o równouprawnieniu obu płci, kto żył spieszył na miasto, aby zasięgnąć pewniejszych wieści. Nadzwyczajne dodatki do krakowskich pism rozchwytywano i czytano je na ulicach z takiem zajęciem, iż jak sam na własne oczy stwierdziłem, pewien osobiście mi znajomy polityk w literackiem zacietrzewieniu uszkodził narożniki dwu kamienic, złamał trzy latarnie gazowe, spowodował wykolejenie wozu tramwajowego, a wreszcie się przewrócił i w tej pozycyi czytał dalej. Gdy go chciano podnieść, sądząc, iż może uszkodził swą cielesną powłokę, bronił się wszelkiemi siłami prosząc z żałosną miną: — Pozwólcie panowie, jeszcze chwilkę... zaraz skończę! Na domiar nieszczęścia wieczorem nadciągnęła nad Kraków burza, która zagnała ciekawych z ulic w zaciszne ściany handelków i restauracyi, gdzie zaczęła się dyskusya *ab ovo*.

Wtem w kilkanaście minut po siódmej wieczorem rozległ się głuchy huk, a po nim trzask pękających i padających na bruk szyb. Czcigodna połowica moja, która bojąc się grzmotów, ukryła się w małżeńskiej łożnicy, usłyszawszy detonacyę, zerwała się i zwróciła do mnie z bolesnym okrzykiem:

— Bój się Boga!... leć do kuchni, pewnie śmietanka wykipiała!

Posłuszny jej woli poszedłem, wiedziałem jednak, że musi być ważniejsza przyczyna. Zdawszy relacyę, iż w kuchni wszystko w porządku, nie zważałem na niepogodę, lecz uzbrojony w kalosze i parasol popędziłem na miasto, by zasięgnąć języka. Kogo spotkam, każdy twierdzi co innego i jest przekonany, że tylko jego informacya jest prawdziwa. Wedle jednych był to odgłos strzałów armatnich, wymienionych w pojedynku między p. Feldmannem a p. Żuławskim, wedle innych komitet Słowackiego wysadził w powietrze pałac biskupi, inni jeszcze utrzymywali, iż zawaliła się wieża Maryacka i ratuszowa. Co do tej ostatniej wiadomość, zaraz sprawdziłem jej niewiarygodność, skonstatowałem bowiem, na miejscu, iż obie stoją niewzruszone w swych posadach. Byli i tacy, którzy upewniali ciekawych, iż eksplozya miała miejsce przy placu Szczepańskim, gdzie wyleciało w powietrze Towarzystwo Sztuk pięknych wraz ze „Zerem“, podminowane przez ś. p. „Sztukę“.

Na szczęście wszystko to było czczą fantazyą! Dopiero późno wieczorem dowiedziałem się, iż wybuch miał miejsce za Podgórzem, gdzie od piorunu zapaliły się zapasy amunicyi w wojskowym magazynie. Przerażenie było ogromne, spodziewano się dalszych eksplozyj, na szczęście jednak skończyło się na tem. Tłumy ludzi pospieszyły na miejsce wypadku, aby ściskiem pomagać w akcyi ratunkowej. Tryumfował jedynie mój przyjaciel polityczny pan Kalasanty, który zacierał tylko ręce i powtarzał: — A co...? nie mówiłem, że nasza artylerya ma doskonały proch... a pan śmiałeś wątpić!... — i szklarze z Krakowa i Podgórza, którzy choć w czerwcu urządzą sobie majówkę, gdy kilka tysięcy wpłynie do ich kieszeni za nowowprawione szyby. Ja osobiście nie poniosłem żadnej szkody, w kuchni tylko wypadła szyba, która już dawniej była pęknięta, sądzę jednak, że koszt wprawienia zwróci mi skarb wojskowy, a jak nie, to gotów jestem się procesować, choćbym nawet miał pójść do najwyższego Trybunału.

Jak zresztą będzie, tak będzie, warto się jednak zastanowić nad tem, jakie niebezpieczeństwo grozi miastu i okolicy, gdzie w rozmaitych miejscach umieszczone są składy amunicyi i materyałów wybuchowych. Najbardziej grozi Krakowowi skład i pracownia na Grzegórzkach i w Rakowicach. Gdyby tak zrządziło nieszczęście, pewnego pięknego poranku moglibyśmy się obudzić na Marsie lub Saturnie, wyrzuceni tamże siłą wybuchu. Byłaby to jazda bardzo szybka i tania, jednakże wcale nieprzyjemna. Kraków jest fortecą, musi więc mieć składy amunicyi, teraz jednak, kiedy rejon fortyfikacyjny rozszerzono i owe magazyny powinny być przeniesione w takie miejsca, skądby albo zupełnie nic, albo bardzo słabo tylko mogły zagrażać miastu. Słyszałem, że gmina nosi się z myślą zakupienia laboratoryum na Grzegórzkach, które otoczone jest pięknym ogrodem i założenia tam parku ludowego, należy się z tem pospieszyć, bo na samo wspomnienie, że może nam grozić niebezpieczeństwo, aż cierpnie skóra na karku. Panowie posłowie poruszą zapewne sprawę tę w parlamencie, czem zyskają sobie wdzięczność mieszkańców Krakowa i okolicy. Tak więc dzień 5. czerwca zapisał się groźnemi głoskami w dziejach miasta Krakowa i osobną uchwałą Rady miejskiej uznany został za dzień feralny pierwszego rzędu, w którym nie powinno się stawiać na loteryę, ani podróżować, ani rozpoczynać jakiejś ważnej czynności, a już o ożenku ani powinno się nawet myśleć.

Wobec dwu ostatnich zdarzeń, które zelektryzowały cały Kraków, nic też dziwnego, że i organa tutejszej prasy, z współzawodnictwem godnem lepszej sprawy, starają się o podawanie Czytelnikom jak najsenzacyjniejszych wiadomości, które po części starają się być jeśli nie z gruntu fałszywemi, to przynajmniej przedwczesnemi. Tak było z rozgłoszoną plakatami wieścią, iż Borowska przyznała się do zamordowania dra Lewickiego, czemu jednakowoż poranne dzienniki z wtorku stanowczo zaprzeczyły. Co do drugiej sprawy, t. j. wybuchu, oczekujemy z niecierpliwością, jakie stanowisko zajmie w tym względzie Rada miejska, która na posiedzeniu we środę 9. czerwca, postawiła ją na pierwszym planie porządku dziennego.

I o szerokiej polityce zapomnieliśmy w ostatnich dniach, choć we Wiedniu sytuacya jest nadzwyczaj naprężona. Ostatnie posiedzenie Rady państwa, w czasie którego rząd się przekonał, iż nie posiada w Izbie absolutnej większości, było o tyle ciekawe, iż chęć do obrad okazywały stronnictwa opozycyjne, rządowe zaś rozpoczęły obstrukcyę i doprowadziły do zamknięcia posiedzenia. Następne naznaczono dopiero na wtorek, a przez ten czas wre we Wiedniu gorączkowa praca, aby obietnicą koncesyjek zlepić jakoś rządową większość, gdyż w przeciwnym razie albo runąć musi cały gabinet bar. Bienertha, albo przynajmniej rzucą opozycyi na pożarcie Bilińskiego. Tasiemcem owym, który tak fatalnie działa na polityczne organa trawienia austryackiego, jest ciągle sprawa banku agrarnego na Węgrzech, mającego powoli a bezboleśnie ściągać skórę z tamtejszych kmieciów. Drugim wrzodem są projekty finansowe jakie rząd przedkłada, a na które nikt nie chce się zgodzić. Przeciw podwyższeniu podatku od piwa protestują Czesi i Niemcy, przeciw wódce Koło polskie, podatek tak zwany kawalerski spotyka się z opozycyą wszystkich w bezżennym stanie żyjących, a rezerwę tworzą i bezdzietne małżeństwa.

Warto się zastanowić, czy wobec tych warunków warto obecnie w Austryi wstępować w związki małżeńskie, czy też lepiej może dać spokój rozkoszom hymenu. Mnie się zdaje, że to nie dobre i tamto nie wiele warte, jak to mieliśmy obecnie sposobność przekonać się z urzędowych oświadczeń. Jeśli ktoś ma zamiar zostać kawalerem, naraża się na podwyższenie podatku osobisto-dochodowego o 15%. Zgodzić się więc na to mogą jedynie kawalerowie, którzy żadnego podatku nie opłacają, ale tacy już z natury rzeczy nie mogą liczyć na względy płci pięknej, zwłaszcza w teraźniejszych czasach, gdy papa narzeczonej bada dokładnie przed ślubem hipotekę przyszłego zięcia. Wejdziesz zaś w święte jarzmo małżeńskie i spadną na ciebie domowe nieszczęścia, z powodu których będziesz się musiał zadłużyć bez swej winy, grozi ci dyscyplinarka według orzeczenia Najwyższego Trybunału, który wyraźnie powiada, iż młody człowiek zanim pojmie małżonkę, powinien z ołówkiem w ręku obliczyć swe dochody, inaczej zasługuje na potępienie. Podobne orzeczenie wydał świeżo Najwyższy Trybunał w sprawie kilku zadłużonych skutkiem nieszczęść familijnych urzędników wiedeńskiego zakładu depozytowego. Zupełnie podobnie postępuje sobie i c. k. śruba podatkowa, która powiada, że jeżeli urzędnik ma długi, należy mu wymierzyć wyższy podatek dochodowy, kto ma bowiem kredyt, widoczne, że jest dobrze sytuowany, a zataja jedynie swe dochody, czem się dopuszcza ukrócenia dochodów państwowych. Znajdzie się zaś w stanie urzędniczym osobnik niezadłużony, należy mu *eo ipso* podwyższyć podatek, nie robiąc bowiem długów, daje świadectwo, iż jest zamożnym człowiekiem. *X.*

Głosy publiczne.

Do Wielmożnego Pana Władysława Floryańskiego, reżysera opery teatru miejskiego we Lwowie!

Wielmożny Panie!

Od roku pobiera córka nasza u Wielmożnego Pana naukę śpiewu, czyniąc zadziwiające postępy. Nieomieszkaliśmy już niejednokrotnie złożyć mu serdeczne dzięki za tak umiejętne i szczere oddanie się pracy nad nasze dzieckiem.

Stryjenka nasza pani Sembrich-Kochańska, bawiąc teraz we Lwowie, poddała próbie głos i postępy w nauce śpiewu naszej córki, a uczenicy Wielmożnego Pana.

Wynik tego egzaminu wywołał u naszej stryjenki nietylko najwyższe zadowolenie, lecz nadto poleciła nam gorąco pozostawić i nadal pod umiejętnem kierownictwem Wgo Pana, rokując jej świetną przyszłość.

Wobec tak zaszczytnej oceny pierwszej dziś znakomitości, jaką jest p. Sembrich-Kochańska, cóż my profani możemy dodać ponadto?... tylko wyrazy niewygasłej dla WPana wdzięczności i prośby, abyś raczył dalej prowadzić dzieło tak szczęśliwie rozpoczęte i jak dotąd otaczał naszą córkę swą prawdziwie ojcowską pieczą.

Z wdzięcznem sercem.

Władysław i Marya z Strenglów Taborowie.

Lwów 2 czerwca 1909.

Zamordowanie adwokata Lewickiego.

Przed dwoma mniej więcej laty pojawiła się na półkach księgarskich powieść jednego z najwybitniejszych współczesnych autorów polskich, p. t.



Zamordowanie adwokata Lewickiego: Dr. Maryan Borowski.

„Dzieje grzechu“. Wywołała ona dużo hałasu w prasie codziennej i peryodycznej, wywołała szereg krytyk, podnoszących literackie zalety książki ale potępiających — przeważnie — tendencyę jej.

„Dzieje grzechu“, a raczej dzieje bohaterki romansu, Ewy Pobratyńskiej, nie znalazły wśród większości polskiego społeczeństwa uznania. Potępiono ją. Nikt po prostu nie chciał, a nawet nie mógł wierzyć, by tego rodzaju typ zwyrodniałej kobiety mógł się wśród nas znaleść. Wszak myśmy przywykli w kobiecie, w Polce, widzieć tylko cnoty. Dlaczegoż więc ten urok, postaci naszych matek, żon, sióstr i córek otaczający, dlaczegoż ten urok tak bezlitośnie zdarto? Zwłaszcza że nie było podstaw do tego, że tylko fantazya poety — zdawało się — kobietę-potwora stworzyła.

Tylko w fantazyi poety — mówiono — powstać mogła Polka, zdolna do tak potwornych zbrodni, zdolna do mordowania swych najdroższych, do wyparcia się tego, co w każdej kobiecie najwyżej cenimy.

A jednak! Smutna rzeczywistość inaczej każe nam dziś patrzeć na utwór Żeromskiego.



Straszny wybuch prochowni: Szrapnele, rzucone siłą wybuchu na pola w okolicy Podgórza.

Ewa z „Dziejów grzechu“ znalazła sobowtóra. Znalazła go tu, wśród nas, na gruncie krakowskim, w osobie Janiny Borowskiej.

Któż jej dziś nie zna? Wsławiła się szeroko i daleko swym sensacyjnym procesem przeciw redakcyi *„Naprzodu“*, który zarzucił jej szpiegostwo. Z procesu tego wyszła zwycięsko.

A że taki był wynik prosesu, zasługą było w pierwszej linii jej zastępcy prawnego, adwokata dra Włodzimierza Lewickiego, który wierząc szczerze w jej niewinność oddał wszystkie siły swe i wybitne zdolności na rzecz sprawy Borowskiej. I proces wygrał.

A w parę miesięcy potem ta sama Borowska życie mu wydarła. Swemu wybawcy i dobroczyńcy, temu, który uchronił ją od moralnej śmieci. Wydarła mu życie wtenczas, gdy stał u szczytu sławy zawodowej, gdy był w pełni sił męskich, gdy chciał i mógł używać życia.

Bo choć w chwili, gdy numer ten pisma naszego idzie na prasę, niema bezpośredniego przyznania się Borowskiej do strasznej zbrodni, nikt chyba o winie jej nie wątpi. Za dużo poszlak świadczy przeciw niej i za dużo przeciw samobójstwu ś. p. Lewickiego.

Fakta były takie.

W sobotę ubiegłego tygodnia wczesnym rankiem, wezwano telefonicznie pogotowie towarzystwa ratunkowego do mieszkania dra Lewickiego, który — jak poinformowała kobieta, wzywająca interwencyi



Zamordowanie adwokata Lewickiego: Pokój sypialny w mieszkaniu ś. p. dra Lewickiego. Między fotelem za pianinem, a otomanką pod piecem leżał ranny dr. Lewicki.



Straszny wybuch prochowni: Ogólny widok miejsca katastrofy. Na prawo magazyny prochu, na lewo zabudowania w Woli Duchackiej i Płaszowie.

pogotowia — odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru. Dyżurny pogotowia, przybywszy do mieszkania dra Lewickiego, zastał go na podłodze w po-



Zamordowanie adwokata Lewickiego: Komisya śledcza z sędzią śledczym dr Nowotnym (X) przed mieszkaniem ś. p. dr. Lewickiego.

zycyi leżącej, rozebranego i okrytego kocykiem, między pianinem a sofą, oblanego krwią, sączącą z rany postrzałowej w prawej skroni i dającego słabe tylko oznaki życia.

Na miejscu wypadku była Janina Borowska, klijentka rzekomego samobójcy, ona też była jedynym świadkiem tragedyi i ona wezwała pogotowie ratunkowe. Dyżurnego pogotowia uderzyło, że rana została zadana conajmniej na godzinę przed wezwaniem pogotowia, zapytał więc Borowską, dlaczego tak późno zażądała pomocy. Otrzymał na to odpowiedź, iż rana wydawała się jej początkowo lekką, tylko powierzchowną, zwłaszcza że dr. Lewicki był zupełnie przytomny i nawet z nią żartował.

Po prowizorycznem opatrzeniu rany dra Lewickiego odstawiono go na oddział chirurgiczny szpitala św. Łazarza, gdzie lekarze orzekli, iż rana jest zbyt ciężka, by można uratować życie. Ograniczono się więc tylko na zastrzyknięciu kamfory i próbowano przyprowadzić rannego do przytomności i te usiłowania jednak były bezskuteczne. Po kilku godzinach strasznych mąk dr. Lewicki ducha wyzionął.

Tymczasem zawiadomiono o wypadku policyę, która zaraz na wstępie dochodzeń zauważyła tyle sprzeczności w zeznaniach Janiny Borowskiej, jedynego świadka rzekomego samobójstwa i tyle niejasności, iż uznała za wskazane przytrzymać ją w areszcie śledczym.

Dalsze dochodzenia uzasadniły w zupełności przypuszczenie, iż w wypadku tym zachodzi nie samobójstwo, lecz straszna zbrodnia wyrafinowanego morderstwa.

Bo i cóżby mogło popchnąć ś. p. dra Lewickiego do targnięcia się na swe życie? Nie miał do tego przyczyn, ani moralnej, ani materyalnej natury.

Był człowiekiem młodym, 42-letnim, sytuowanym finansowo zupełnie dobrze; jako adwokat miał opinię jednego z bardzo tęgich, kancelarya też jego szła doskonale.

Przeszłość miał dość burzliwą, ale pełną wrażeń sympatycznych. Po ukończeniu szkoły średniej wpisał się na uniwersytet Jagielloński, na wydział prawniczy i już wówczas odznaczył się jako bardzo wybitny mowca. Brał też czynny i żywy udział w życiu młodzieży a jego przemówienia, zwłaszcza na pogrzebie Mickiewicza imieniem „Czytelni akademickiej“, której był podówczas prezesem, wyrobiły mu popularność, a nawet sławę.

Uzyskawszy stopień doktora praw, poświęcił się adwokaturze, a równocześnie próbował swych sił na polu literackiem i w dziennikarstwie. Pracował w *Nowej Reformie* i *Głosie Narodu*, napisał też kilka utworów dramatycznych.



Straszny wybuch prochowni: Magazyny Sprechera w Woli Duchackiej.

Otworzywszy następnie kancelaryę adwokacką, poświęcił się przedewszystkiem obronie w sprawach karnych i na tem polu zasłynął jako jeden z najwybitniejszych w Krakowie kryminalistów. Zajęcia zawodowe nie pozwalały mu wówczas tyle, co dawniej zajmować się literaturą lub dziennikarstwem, przygodnie jednak pisywał do niektórych pism, między innemi zasilał *Nowości Illustrowane* w pierwszych miesiącach ich istnienia swem ciętem piórem, pisząc doskonałe kroniki tygodniowe pod nagłówkiem „Zygzakiem“ i fejletony teatralne.

Z czasem i na to brakło mu czasu. Wzrastała sława, wzrastała klientela, wzrastały dochody. Nazwisko dra Lewickiego stało się ogólnie znane i głośne.

Ostatnim wielkim procesem, który przysporzył mu nowych laurów, był właśnie proces Borowskiej. Ujął się krzywdy młodej kobiety, słuchaczki medycyny, którą jedno z pism krakowskich spotwarzyło, ciskając jej w oczy straszny zarzut szpiegostwa na rzecz Rosyi. Poprowadził sprawę tak, że — jak wyżej wspomnieliśmy — Borowska wyszła z sali sądowej oczyszczona i uwolniona z pod ciężaru gniotącego ją zarzutu zdrady.

Przyniósł mu więc sławę niemałą ten proces, ale przyniósł i nieszczęście, przyniósł zgubę i śmierć.

Borowska jest osobą bezsprzecznie erotycznie predysponowaną, a przytem wybitną histeryczką, której poczytalność jest skutkiem tego conajmniej znacznie osłabiona. Poczuwszy gwałtowny pociąg do osoby swego obrońcy, nawiązała z nim bliski stosunek, z którego następnie ś. p. Lewickiemu trudno się było uwolnić. Próbował rozmaitych sposobów, ale na darmo. Borowskiej pozbyć się nie mógł. Chciał się zaś dr. Lewicki pozbyć jej nietylko dlatego, że nie kochał jej, ale przedewszystkiem, ponieważ obawiał się i jakgdyby przeczuwał że ze strony tej histeryczki grozi mu nieszczęście. Przed przyjaciółmi swymi obaw tych nie taił.

I spełniły się jego obawy. W dniu poprzedzającym zgon ś. p. Lewickiego była Borowska znowu w kancelaryi jego i chciała z nim koniecznie się widzieć. Szło jej podobno o wydobycie jakichś listów miłosnych, dość kompromitującej treści. Dr. Lewicki odmówił. Wieczór tego dnia bawił do późna w mieście. Widziano go po 12-ej w nocy w kawiarni Bisanza, rozmawiającego wesoło ze znajomymi.

W kilka godzin później leżał dogorywający w swem mieszkaniu, a koło niego znajdowała się Borowska, jego zły duch.

Co między nimi zaszło, trudno dokładnie stwierdzić, gdyż Borowska odmawia wszelkich wyjaśnień, obstając uporczywie przy swem pierwotnem zeznaniu, że adwokat Lewicki popełnił samobójstwo.

Faktem jest jednak, że Borowska gospodarowała owej strasznej nocy w mieszkaniu swej ofiary, że wydobyła jakieś listy i papiery, oraz że je popaliła. Pozostały ślady po tem wszystkiem.

Śledztwo karno-sądowe zebrało już bardzo obfity materyał dowodowy przeciw Borowskiej. Prowadzi je sędzia śledczy dr. Nowotny, przy współudziale komisarza policyi p. Krupińskiego i ajentów. Najważniejszą rolę odegra w tym kierunku niewątpliwie orzeczenie lekarzy, którzy przeprowadzili sekcyę zwłok zamordowanego.

Szaruda: Prenumerata.

Zagadka do przestawienia: Pańskie oko konia tuczy.

Trójkąt magiczny: Roraty, obrok, rola, ara, ta, y.

Kwadrat magiczny: Nubia, Milet, nacya, bilet, nerpa.

Dobre rozwiązanie nadesłali: O Górkowa Chyrów, K. Fuchs Czeremchów, M. Kościński Żarki, W. Rapacz Żarki,



Straszny wybuch prochowni: Posterunek wojskowy w pobliżu magazynów prochu (X)

Straszna tragedya, której ofiarą padł ś. p. Włodzimierz Lewicki, wywołała nietylko w Krakowie, ale w całym kraju ogólne współczucie. Stanowi też od dni paru jedyny niemal przedmiot rozmów.

Czyniąc zadość zainteresowaniu szerokich sfer głośnym tym wypadkiem, zamieszczamy w dzisiejszym numerze prócz portretów ś. p. dra Włodzimierza Lewickiego i Janiny Borowskiej, także zdjęcie fotograficzne sypialni zamordowanego, miejsca tragedyi, dalej zdjęcie, przedstawiające komisyę śledczą, gdy wychodzi z domu, gdzie mieści się kancelarya ś. p. Lewickiego, oraz portret męża Borowskiej, dra Maryana Borowskiego.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 22.

Łamigłówka: Z wielkiej chmury mały deszcz.

Gwiazda magiczna: Bretnal, zgoda, Laokoon, Pregola, stoki, gondola.

Metogram: Tara, kara, mara, para, Sara, ara.

Zgłoskówka: Tara, rafa.

Oadanie do przestawienia: Jaki pan, taki kram.

Zadanie konikowe:

Idzie wiosna i sieje pył złoty
Słonecznych promieni.
Wierzby dźwięczą wróblemi świegoty
W gałęziach zieleni.
Ziemia kwitnie iskrzącą się rosą
Przez łzy się uśmiecha,
Ciepłe tchnienia z nad roli gdzieś niosą
Zapachy i echa.

A. Bocsoń Bóbrka, A Polończykowa Żywiec, H. Chodkiewicz Warszawa, J. Augustynowicz Żywięc, J. K. Januszewski Podgórze, M. Opolska Czarny Dunajec, S. Danziger Osiny, A. Biliński Tarnopol, W. Ossowski Warszawa, J. Sieniewicz Włocławek, B. Lindenbaum Czerniowce, H. Wielopolski Radom, M. Ostaszewski Lwów, J. Biernat Kraków, J. Piątkowski Kołomyja, S. Starosrlski Brody, K. Książkiewicz Tarnów, W. Schmidt Kraków, J. Silberman Kraków, D. Drzymuchowski Lwów, W. Gąsiorowski Kraków, W. Kuśnierska Krekw, J. Królikowski Tarnopol, H. Cichulski Lwów, S. Lewicki Kołomyja, B. Weingarten Tarnopol, J. Judycki Czerniowce, W. Brodzka Lwów, M. Rożańska Kołomyja, S. Ehrlich Rzeszów, B. Chołoniewski Stanisławów, K. Łopatyński Rzeszów, M. Siengalewicz Brody, W. Lusk Łowcze, S. Więckowski Warszawa, J. Gebhard Kraków, K. Bratoszyński Poznań, J. Chodorowski Lwów, M. Ogibiński Czortków, J. Eckhardt Lwów, W. Czerkawski Kraków, J. Liebeskind Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał *W. Schmidt Kraków*. Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki.

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. M. M. Kęty: Umieszczamy, prosimy o dalsze.

WP. M. Kościński Żarki: Nadesłano zagadki spoczywają narazie w tece redakcyjnej i z czasem ujrzą światło dzienne. Zużytkujemy prawie wszystkie. Za pamięć dziękujemy.

WP. „Rzemieślnik“ Warszawa: Kursa wszelkiego rodzaju tak majsterskie jak i czeladnicze urządza się w krakowskim miejskim Muzeum techniczno-przemysłowym (Kraków, gmach OO. Franciszkanów) najczęściej z inicyatywy Wydziału krajowego jakoteż krakowskiej Izby rękodzielniczej, jedynie masarze i rzeźnicy urządzają je w swym własnym domu cechowym „na Kotłowie“. Kurs taki trwa kilka tygodni. Nauka jest bezpłatną, biedni frekwentanci, o ile są naturalnie poddanymi austryackimi otrzymają od galicyjskiego Wydziału krajowego odpowiedne zasiłki. Po bliższe szczegóły zechce się WPan zwrócić do Dyrekcyi miejskiego Muzeum techniczno-przemysłowego w Krakowie, na czele której stoi radca budownictwa Tadeusz Stryjeński, lub też do krakowskiej Izby rękodzielniczej na ręce jej prezesa, radcy miejskiego Kosobuckiego, a z pewnością otrzyma pan wszelkie żądane fachowe wskazówki.

Nadesłane.

Nadzwyczajne przygody repotera Józefa Rouletabille.

ZAPACH DAMY W CZERNI

napisał **Gaston Leroux.**

16 (Ciąg dalszy)

Wchodząc do pokoju pani Darzac, byliśmy pewni, że nikt nie pozostał za nami. Stary Bernier, który nam towarzyszył, zaraz zaryglował drzwi prowadzące na korytarz. Pokój pani Darzac był mniejszy od pokoju jej męża, ale jaśniejszy i weselszy. Jak tylko weszliśmy, Rouletabille zbladł i zwrócił się do mnie melancholijnie:

— I cóż, czy czujesz zapach Damy w czerni?

Nie czułem nic. Przez otwarte okno płynął z morza świeży powiew wiatru, kołyszący jedwabną zasłonę. pokrywającą wiszące na wieszaku rzeczy. Nie było tu szafy, oprócz łóżka stał jeszcze stolik, małe biurko, fotel i dwa krzesełka, poza tem nic, cztery tylko ściany. Rouletabille zajrzał pod łóżko i skierował się do wyjścia, puszczając nas naprzód. Bernier zamknął natychmiast drzwi i klucz schował do kieszeni. Obejrzeliśmy apartament starego Boba, składający się z saloniku i sypialni z nielicznemi sprzętami, a następnie i mieszkanie Bernierów: nigdzie nikogo nie było, oprócz tylko Bernierowej, obierającej kartofle. Inne piętra były niezamieszkane i łączyły się z parterem małemi schodami, które znajdowały się w rogu O" i prowadziły na sam szczyt wieży przez otwór w suficie pokoju Bernierów. Rouletabille zabezpieczył się jednak i z tej strony i otwór ten zabił deskami. Nic nie uszło jego czynności i wychodząc z Wieży czworobocznej, zostawiliśmy tam jedynie ojca i matkę Bernier.

Była piąta za pięć minut. Siedliśmy na murze koło wieży B" z oczami zwróconemi na Czerwone skały: na nich, koło pieczary *Barma Grande* ujrzeliśmy czarną sylwetkę starego Boba, jak rył się wśród kamieni.

Po chwili uwaga nasza przeszła na Roberta Darzaca, który wolnym, zmęczonym krokiem szedł przez dziedziniec. Nie widział nas. Rouletabille użalał się nad nim i rozumiał, iż cierpliwość jego może już być wyczerpana. Po południu mówił on do mego przyjaciela: „Nie wiem, czy będę mógł znosić jeszcze przez kilka dni te męczarnie. — Dokąd więc państwo pojadą? — Do Rzymu! — odpowiedział". Stangerson córka profesora Stangersona tam tylko chce jechać z mężem, sądząc, że jedynie u papieża znajdzie rozwiązanie swej bolesnej sprawy. Biedny Darzac! Odprowadziliśmy go wzrokiem aż do drzwi Wieży Czworobocznej. Plecy miał zgarbione, ręce w kieszeniach i minę zniechęconą do wszystkiego. Co za kontrast z wiecznie śmiejącym się i rozradowanym starym Bobem!

Wszedł do Wieży Czworobocznej, gdzie musiał zastać Berniera, który mu otworzył jego pokój. Ponieważ Bernier wyszedł następnie na korytarz z kluczem w kieszeni i ponieważ w apartamencie, jak potem stwierdziliśmy, żadna krata nie była przepiłowana, jasnem jest, że *gdy Darzac wchodził do mieszkania, nikogo w niem nie było. I to jest prawdą.*

W tej chwili wybiła piąta godzina.

4) Od piątej godziny aż do ataku na Wieżę Czworoboczną.

Blisko godzinę pozostawaliśmy na murze koło Wieży B". Nagle Rouletabille trącił mnie lekko w ramię i rzekł: „Lecz ja myślę!..." i skierował się do Wieży Czworobocznej, dokąd poszedłem za nim. Ani przypuszczałem o czem on myśli. Myślał o worku z kartoflami matki Bernier, które rozsypał po podłodze ku wielkiemu zdziwieniu starej kobiety; zadowolony z tego, co miało widocznie jakiś ukryty związek z jego stałemi myślami, wyszedł razem ze mną na dziedziniec; za nami ojciec Bernier śmiał się z rozsypanych kartofli. Pani Darzac na chwilę ukazała się w oknie pokoju, zajmowanego przez jej ojca na pierwszem piętrze w Wilczycy.

Gorąco stało się nie do zniesienia. Zapowiadała się gwałtowna burza i chcieliśmy, by wybuchła zaraz... Burza ulżyłaby nam... Morze jest ciężkie, powietrze jest ciężkie i piersi nasze tłoczy jakiś ciężar. Lekkim jest tylko stary Bob, który ukazał się znowu na skraju *Barma Grande* i tam się porusza. Rozmawia z kimś. Pochylamy się naprzód, by dojrzeć, do kogo mowi, lecz liście palm skrywają audytoryum Boba. Wreszcie coś się zbliża do *czarnego profesora*, jak go nazwał Rouletabille. Audytoryum to składa się z dwóch osób: pani Edyty, opartej na ramieniu... ale czyjem? Kto jest ten młody człowiek stojący pod rękę z panią Edytą?...

Rouletabille obrócił się, by poszukać kogo, ktoby nas poinformował. Na progu wieży stał właśnie Bernier i na uczyniony znak podszedł do nas. Rouletabille wskadał mu nieznajomego i zapytał:

— Kto jest z panią Edytą?

— Ten młody człowiek? — odpowiada bez wahania Bernier — to książę Galicz.

Spojrzeliśmy na siebie. Wprawdzie nie widzieliśmy z daleka księcia Galicza... lecz nie wydawał mi się tak wysokim. Rouletabille miał podobne myśli.

— Dobrze — rzekł do Berniera — dziękuję...

I znowu spoglądamy na panią Edytę i jej księcia.

— Mogę panom to powiedzieć — rzekł Bernier przed opuszczeniem nas — iż ten książę nie bardzo mi się podoba. Podobno jest Rosyaninem. Ciągle jeździ, przyjeżdża, wyjeżdża bezustanku. Przedostatnim razem, gdy był zaproszony na śniadanie, państwo oczekiwali na niego i ale siadali do stołu. Naraz przyszła depesza od niego z Moskwy, iż spóźnił się na pociąg i nie może przybyć na czas...

I Bernier, śmiejąc się dziwnie, powrócił do wieży.

Znowu patrzeliśmy na skały. Pani Edyta i książę zwrócili się do groty *Romeo i Julia*, stary Bob przestał nagle gestykulować, opuścił *Barma Grande* i skierował się do zamku: widzieliśmy go bardzo dobrze, jak szedł przez dziedziniec, nie śmiejąc się wcale, Był smutny, milczący, zawołaliśmy na niego, lecz nie usłyszał nas. Spostrzegliśmy naraz, jak rozzłościł się z niewiadomego powodu na czaszkę, którą niósł w ręku; zaczął ją przeklinać tak energicznie, iż podniecony głos jego dochodził nas z wieży, do której wszedł.

W chwili tej na zegarze zamkowym wybiła szósta godzina. Prawie jednocześnie w oddali na morzu zagrzmiało. Niebo pokryło się czarnemi chmurami.

Wówczas chłopiec stajenny, Walter, nie inteligentny, lecz ślepo oddany swemu panu, staremu Bobowi, podszedł do nas i wręczył mnie i Rouletabille'owi po liście, poczem odszedł do Wieży Czworobocznej.

Rouletabille zapytał go, po co tam idzie. Odparł, że chce oddać ojcu Bernierowi pocztę dla państwa Darzac. Od chwili, gdy ojciec Jakób stróżował przy wejściu, Walter roznosił listy i gazety. Rouletabille kazał sobie wszystko oddać, mówiąc, iż sam zaniesie nadesłże posyłki do wieży.

Zaczynał padać deszcz.

Poszliśmy do Darzaca. W korytarzu, siedząc na krześle po napoleońsku, z rękami założonemi na oparciu palił fajkę ojciec Bernier.

— Pan Darzac jest jeszcze u siebie? — zapytał Rouletabille.

— Nie ruszał się wcale — odpowiedział Bernier.

Zapukaliśmy i po chwili usłyszeliśmy odsuwanie wewnątrz ciężkich zasówek. Gdyśmy weszli, Darzac siedział przy stole wprost drzwi R zajęty korespondencyą. Przeczytał obojętnie kilka listów, które mu podaliśmy i schował je do kieszeni. Pokazałem Rouletabille'owi list, który sam dostałem; był on od przyjaciela z Paryża, który komunikował mi kilka mniej ważnych szczegółów o wyjeździe Brignolles'a i donosił, iż kazał on sobie odsyłać listy do Sospel, do hotelu Alpejskiego. Miało to dla nas znaczenie i Darzac wraz z Rouletabille'm ucieszyli się z tej wiadomości. Umówiliśmy się, że pójdziemy do Sospel, jak tylko będziemy mogli najwcześniej i wyszliśmy z pokoju Darzaca. Drzwi do pokoju pani Darzac nie były zamknięte. Zauważyłem to, wychodząc: mówiłem już zresztą, że Matyldy tam nie było. Natychmiast po naszem wyjściu ojciec Bernier zamknął drzwi, a klucz schował, jak to sam widziałem, do górnej kieszeni marynarki, którą zapiął na wszystkie guziki.

Dochodziło już pół do siódmej, gdyśmy po wyjściu z Wieży Czworobocznej poszli z wizytą do starego Boba, był on jednak w takim humorze, iż czemprędzej opuściliśmy go, pozostał tam tylko sam Darzac.

Burza zbliżała się: coraz ciemniejsze chmury napływały z nad morza, na razie jednak deszcz ustał.

— Położę się odpocząć — rzekłem. — Już dłużej nie mogę wytrzymać... Na górze może będzie świeższe powietrze.

Rouletabille poszedł za mną. Nagle, gdyśmy wstąpili na szerokie schody, zatrzymał się.

— Oh, oh! — westchnął — ona tam jest...

— Kto?

— Dama w czerni!... Czy nie czujesz tu wszędzie jej zapachu.

Schował się za boczne drzwi, prosząc, bym szedł dalej, nie zwracając na niego uwagi; uczyniłem to.

Jakież było moje zdumienie, gdy, wchodząc do swego pokoju, znalazłem się wprost Matyldy!...

Krzyknęła lekko i jak spłoszony ptak pospiesznie oddaliła się. Wybiegłem na schody i przechyliłem się przez poręcz. Zdawało się, iż jak widmo zsuwa się po stopniach. Po chwili była już na dole, ujrza-

łem, że i Rouletabille na pierwszem zakręcie schodów patrzy w ślad za nią.

Zbliżył się ku mnie.

— Czy nie mówiłem!... Nieszczęśliwa!

Znowu był bardzo wzburzony.

— Żądałem od Darzaca ośmiu dni... Musi jednak skończyć się wszystko w przeciągu jednej doby, gdyż na dłużej nie starczy mi sił!...

I padł na krzesło, wołając: — „Dusi mnie to, dusi!“...

Przez dziesięć minut pozostawał na krześle zamyślony. Dziwiło mnie tylko, iż nie pyta, co Dama w czerni mogła czynić u mnie. Wreszcie podniósł się.

— Dokąd idziesz?

— Na straż do wieży ogrodniczej.

Nie chciał przyjść na obiad, lecz prosił, bym mu go przyniesiono jak żołnierzowi na posterunek. Do stołu siedliśmy o pół do dziewiątej w Wilczycy. Robert Darzac oznajmił, iż stary Bob nie chce jeść obiadu. Zaniepokoiło to panią Edytę, która poszła zaraz do swego wuja dowiedzieć się, czy nie jest chory. Nie pozwoliła, by towarzyszył jej mąż, z którym stosunki jej wydały się bardzo naprężone. W chwili tej nadeszła Matylda ze Stangersonem; popatrzyła na mnie boleśnie z wyrazem wyrzutu, który mnie bardzo wzruszył. Nie spuszczała mnie z oczu. Przy stole nikt nie jadł. Artur Rance ciągle na nią spoglądał. Wszystkie okna były otwarte. Nagle ogromna błyskawica przerżnęła powietrze, rozległy się grzmoty, a za nim runął piorun, sprowadzając za sobą potok deszczu. Wszystkie piersi odetchnęły spokojniej. Pani Edyta zdążyła powrócić przed ulewą, która, zdawało się, iż zatopi cały półwysep.

Powiedziała nam, iż stary Bob siedzi pochylony nad biurkiem z głową opartą na rękach i nie chciał się do niej odzywać, a gdy dotknęła się lekko jego ramienia, poruszył się tylko niecierpliwie. By go wyrwać z zamyślenia, ukłuła go delikatnie szpilką od włosów w rękę, którą zakrywał sobie uszy, to jednak rozgniewało go do tego stopnia, iż wyrwał jej tę szpilkę, rzucił ją na stół i zakrzyczał tonem, jakiego nigdy nie używał: „Proszę siostrzenicy zostawić mnie w spokoju“. Pani Edyta dotknięta tem, wyszła nie mówiąc ani słowa, przedtem jednak obróciła się, by popatrzeć na swego wuja i zdumiona została widokiem, jaki spostrzegła. Najstarsza czaszka na świecie leżała wywrócona na stole do góry ze szczęką powalaną krwią, a stary Bob, który zawsze tak o nią dbał, *plul teraz w środek czaszki.* Przerażona tem, pospiesznie uciekła.

Darzac uspokoił zaraz panią Edytę, mówiąc, iż szczęka czaszki nie była zakrwawiona, lecz tylko pomalowana farbą.

Pierwszy wstałem od stołu, by uniknąć wzroku Matyldy i pobiegłem do Rouletabille'a. Wkrótce miałem się dowiedzieć, po co Dama w czerni przychodziła do mego pokoju.

Gdy wyszedłem z Wilczycy, grzmiało nad mą głową, a deszcz lał potokami. Szybko przebiegłem dziedziniec, lecz Rouletabille'a nie było. Znalazłem go dopiero na terasie B”, jak strzeże wyjścia do Wieży Czworobocznej, znosząc cierpliwie wściekłość burzy.

Wziąłem go za rękę, by pociągnąć pod sklepienie.

— Zostaw mnie — rzekł. — Zostaw!... To potop! Ach, jak dobrze mi jest, jak dobrze z tym szalonym gniewem niebios! Czyż ty nie pragniesz wołać razem z grzmotami! A ja wołam, krzyczę, czy słyszysz, krzyczę!... Ho ho!... Ho ho! Głośniej niż grzmoty.

I wśród tej burzliwej nocy zaczął wydawać z siebie tak dzikie krzyki, iż sądziłem naprawdę, iż oszalał. Niestety! nieszczęśliwy w tych dzikich okrzykach chciał wyrzucić z siebie okrutny ból, jaki gniótł mu pierś: *ból syna Larsana!*

Nagle obróciłem się, gdyż jakaś ręka chwyciła mą dłoń i czarna postać przylgnęła do mnie.

Gdzie on jest?... Gdzie on jest?...

Była to pani Darzac, która szukała Rouletabille'a. Nowy grzmot rozległ się nad nami. Rouletabille jakby w jakiem okropnem delirium krzyczał przeraźliwie. Usłyszała go, ujrzała. Pianą morską i potokami deszczu byliśmy zmoczeni doszczętnie. Od porywów wiatru suknia pani Darzac obwijała się dokoła mych nóg.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

ARYTMOGRAF.

Ułożył M. Kościński Żarki.

W miejsce liczb wstawić odpowiednie litery, by powstały cztery różnobrzmiące wyrazy.

c d
3 12
4 4
a 1 2 3 4 5 6 5
11 11
b 7 8 4 1 5 9 10
5 12
10 10

Znaczenie wyrazów: a) Nazwa dziewięciu muz, pochodząca od miejsca ich urodzenia. b) Postać żeńska z „Ogniem i mieczem“. c) Kraina starogrecka. d) Miesięcznik polski.

ŁAMIGŁOWKA LITERACKA.

Ułożył K. Kościński, Żarki.

Podać autorów następujących dzieł:

1. Anuncyata.
2. Orland szalony.
3. Na fali.
4. Pompalińscy.
5. Philotas.
6. Hrabia Monte Christo.
7. Cola Rienzi.
8. Ziemia obiecana.
9. Enejda.
10. Upiory.
11. Małpie zwierciadło.

Początkowe litery nazwisk, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko sławnego angielskiego przyrodnika.

ZADANIE DO PRZESTAWIENIA.

Ułożył M. M. Kęty.

Z podanych liter utworzyć znane przysłowie:

Miecz, kąt, są, łuk, nuta.

LOGOGRYF.

Ułożył H. Krupecki, Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby środkowy szereg, czytany z góry na dół, dał imię i nazwisko współczesnego poety polskiego.

⊙
— ⊙ —
— — ⊙ — —
— — ⊙ — —
— ⊙ —
— — ⊙ — —
— — ⊙ — —
— — ⊙ — —
— — ⊙ — —
— — ⊙ — —
— ⊙ —
— ⊙ —
⊙

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Zwierzę owadożercze. 3. Księga święta Mahometan. 4. Złudzenie zmysłów. 5. Głos wielkiego zwierzęcia. 6. Przyrząd kuchenny. 7. Inaczej rola. 8. Małe zagłębienie. 9. Jedna z cnót teologicznych. 10. Współzawodnik. 11. Owad. 12. Organ wzroku. 13. Samogłoska.

ZAGADKA.

Ułożył W. Rapacz Żarki.

Z czterech zgłosek zbudowana
Ptolemaidą dawniej zwana.
Czy wprzód, czy wspak mię czytacie.
Zawsze imię moje macie.

ZAGADKA DO PRZESTAWIENIA.

Ułożył A. Brandys Łukawica.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie:

But, noga, daje, sto, maj, ów, ten, krępa.

SZARADA.

Ułożył W. Rapacz Żarki.

— Sługa kochanego pana!
Spodziewałem się od rana.
Co nowego? — Wszystko stare,
Siedzę w domu jak za karę
A to z *drugiej trzeciej* żony,
Bo mam płaszcz nienaprawiony,
Ale wstąpmy pod „Karasia“...

Chodźno tutaj, Zosia, Kasia!
Drugie pierwsze zagrzać proszę
I dać nam co do czytania! —
— Ja na ogród gościom noszę,
Zaraz przyjdzie panna Frania.
Ma pan *całość*, niech pan czyta,
Dziś kronika jest obfita.

ZAGADKA LITERACKA.

Ułożył Krupecki, Warszawa.

Wymienić po jednem dziele podanych poniżej pisarzy. Początkowe ich litery, czytane z góry na dół, dadzą tytuł znanej powieści Maryi Rodziewiczówny.

Mickiewicz ?
Prus ?
Dygasiński ?
Rodziewiczówna ?
Korzeniowski ?
Kraszewski ?
Kraszewski ?
Junosza ?

ZAGADKA.

Ułożyła K. Schwarzówna, Laskowce.

W biblii kartach mnie znajdziecie.
Jestem bratem, już zgadniecie,
Na wspak w ziemi mnie ujrzycie!
Służę czasem za ukrycie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Emmy Jeleńskiej:* **„Kobieto puchu marny...“** Powieść.